

# Układanka

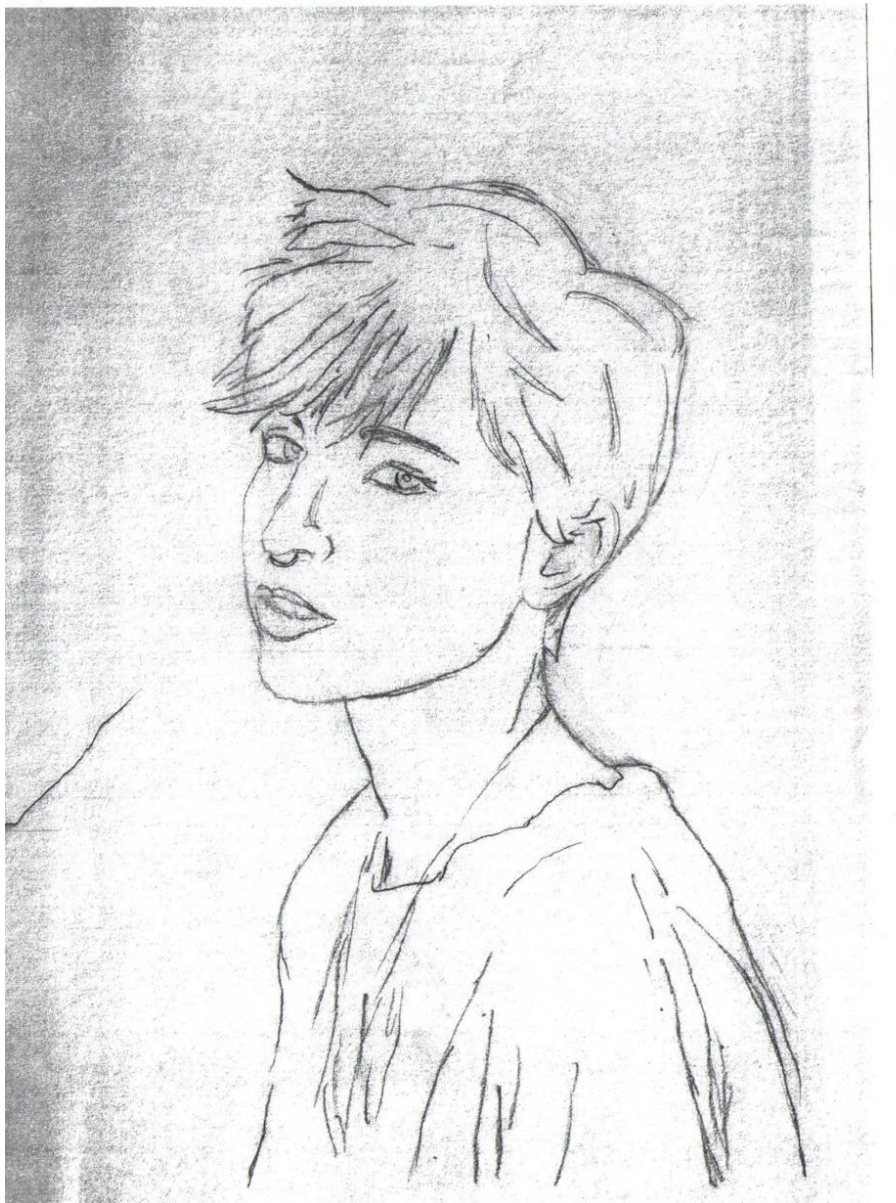


## Układanka

HANNA BARAN, *Obrazki*



Ostatnimi czasy myślał o niej coraz częściej. Od miesiąca planował przeprowadzkę, ciągle więc łapał się na przeglądaniu starych albumów ze zdjęciami, kiedy powinien był pakować je do kartonowych pudeł. Potrafił godzinami siedzieć na podłodze w opustoszałym mieszkaniu, śmiejąc się z jej głupiej miny czy tego, jak tragiczne były wszystkie jego poprzednie fryzury. Ona z kolei zawsze wyglądała świetnie — każda zmiana w jej wyglądzie kojarzyła mu się z konkretnymi zmianami w jej życiu, wyraźnie też pamiętał ich dyskusje o modzie, które prawie zawsze przeradzały się w egzystencjalne rozważania. Kiedy zmieniła szkołę, przestała nosić swój ulubiony wisiołek, który wcześniej był na prawie wszystkich fotografiach. Po każdej poważniejszej kłótni z ojcem jakby na złość farbowała włosy, a gdy na miesiąc wyniosła się z domu, przekłuła sobie nos. Znalazł kilka zdjęć, prawdopodobnie zrobionych przez jej starszego brata, na których widać było małego chłopca pomalowanego szminką i dziewczynkę z zupełnie łysą głową. Nie przypominał sobie, kto pokazał im, jak świetną rozrywką jest hazard, ale, odkąd pamiętał, zakładali się o każdą głupotę; zazwyczaj to ona wygrywała. Z albumu wyjął jeden portret, o którego istnieniu zapomniał na zaskakująco długo. Ostrożnie włożył go pomiędzy strony leżącej najbliżej książki z myślą, że w nowym mieszkaniu koniecznie musi zawisnąć na ścianie, w ramce czy bez.

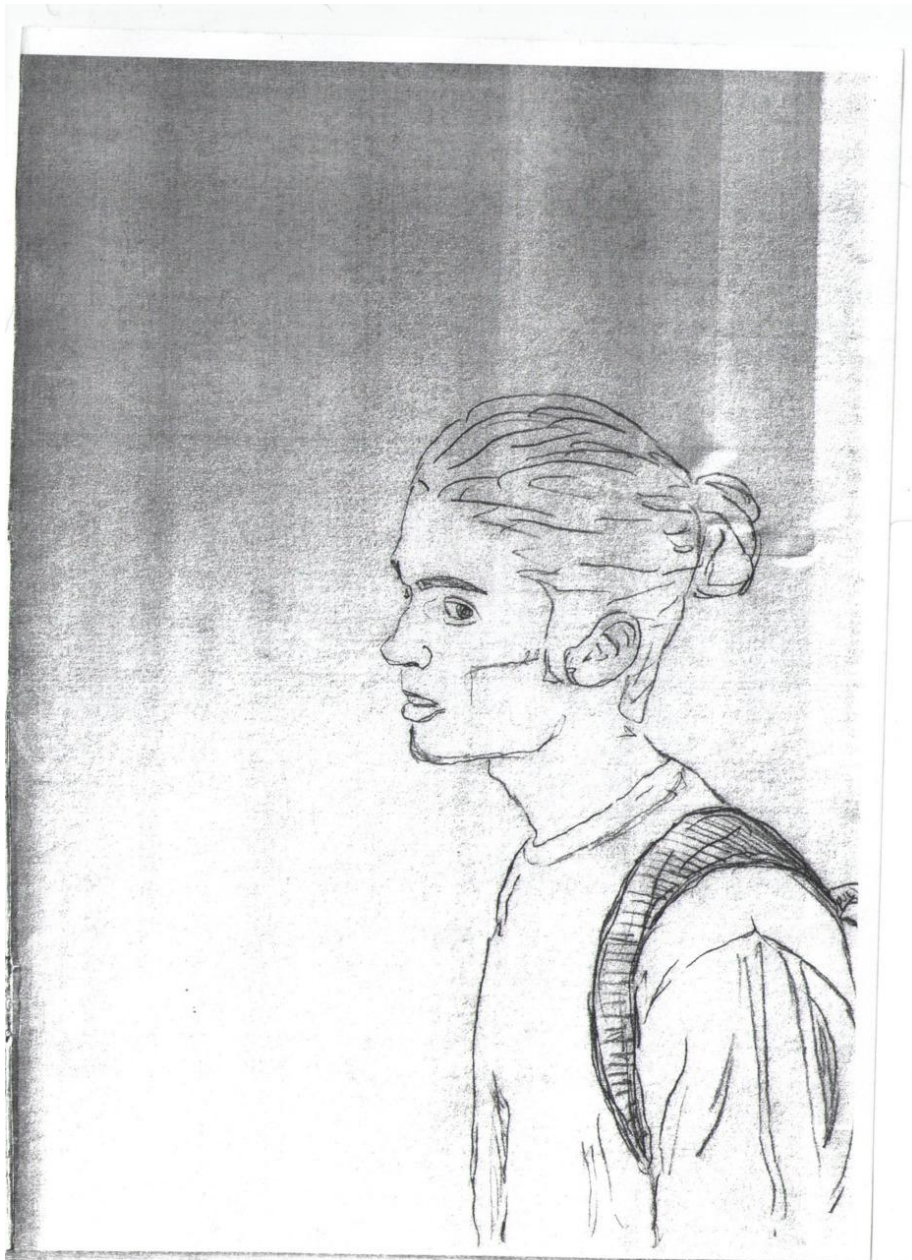


Ona miała na sobie jego starą skórzaną kurtkę i czerwoną czapkę z daszkiem, a on powyciągany sweter, który prawdopodobnie dalej leżał na dnie szafy jego rodziców. Oboje nosili wtedy krótko ścięte włosy, mieli podobne uśmiechy i identyczne, na niego wyraźnie za ciasne spodnie. Z plecakami na ramionach wyglądali jak dwójka kolegów po wyjściu ze szkoły, w tamtym okresie przypadkowi ludzie często brali ich za braci. Ona potrafiła się z tego śmiać, on tylko kręcił głową. Na zdjęciu oboje patrzyli w obiektyw, a z ich oczu, przynajmniej z jego perspektywy, wyraźnie biło jedno konkretne uczucie. Trzymali się za ręce, za nimi dało się zobaczyć wybieg słoni w krakowskim zoo, świeciło słońce, prawdopodobnie śpiewały ptaki i, o ile pamięć go nie myliła, wszystko było wtedy niemalże idealne. Oboje byli zakochani, co zdawało się być bardziej zauważalne nawet od tego, że włosy obcinali sobie nawzajem, pośpiesznie, w publicznej łazience i, że jego kurtka była na nią za duża. Nie wiedział, czy osoba robiąca zdjęcie była świadoma, że stoi przed nią dwójka przyjaciół kochających ją w najbardziej naiwny sposób, ale myślał, że teraz, patrząc im w oczy po latach, byłoby to dla niej oczywiste.



Był kiepski w rozmowach o uczuciach, a ona świetna w ich odczytywaniu. Zakochana nie do końca myślała jednak o tym, co mówi, o swojej nowej miłości powiedziała mu więc natychmiast, na co on zapadł się w siebie i wziął głęboki oddech. Tę wymianę zdań pamiętał jak dziś; nie planował zapominać o obietnicach, które sobie wtedy składali, o tym, że nie będą zazdrościć i nie pozwolą nikomu wejść pomiędzy siebie. Oczywiście, że do gustu musiał przypaść im jeden i ten sam człowiek. Było to w pewien sposób ironiczne, a na pewno zrozumiałe, zważywszy, jak bardzo byli do siebie podobni. Nie miał pojęcia, jak udało mu się wtedy przyznać, że też kocha; normalnie, do tego typu rozmowy przygotowywałby się tygodniami, rozrysowałby schemat wszelkich możliwych reakcji i odpowiedzi, a w końcu odetchnąłby z ulgą uświadomiwszy sobie, że jego najlepszej przyjaciółki niczym nie da się zaskoczyć. Normalnie, uśmiechnęłaby się do niego z żartobliwym politowaniem i powiedziała, że wie, że to oczywiste, że wszystko po nim widać, że przerabiali to już tyle razy. Wtedy była jednak zaskoczona, nie do końca wiedziała, co robić i co mówić. Wtedy to on odnalazł głęboko w sobie siłę, by oznajmić, że to wcale nie jest takie straszne, że dadzą sobie radę, a w najgorszym wypadku: że to mija. Że mają kilkanaście lat, oboje zakochają się jeszcze mnóstwo razy, będą szczęśliwi, nieszczęśliwi, stęsknieni i spełnieni. Ta jedna miłość, nieważne, czy pierwsza, czy nie, nie mogła wpłynąć na to, co było pomiędzy nimi. W końcu znali się jeszcze z piaskownicy.

Kiwnęła wtedy głową i przytuliła go tak, jak tylko ona potrafiła przytulać. Jeszcze przez długi czas gubili się we własnych uczuciach, rozmawiali o tym jednak jak najczęściej, by nie pozostawiać między sobą żadnych niejasności. Czasem miewał wrażenie, że może całą sprawę należało przemilczeć, zamiast rozwlekać. Później jednak przypominał sobie o tym, jak ważna była dla niej szczerłość i otwartość, znów się uspokajał i przestawał wątpić. Wycieczki do zoo stały się dla nich tradycją, choć, poza tą jedną okazją, nigdy więcej nie mieli towarzystwa. Za każdym razem trzymali się za ręce, jakby upewniając się, że nie są sami, z czasem ich włosy odrosły, a szkolne plecaki zniknęły. Przestano brać ich za rodzeństwo, zaczęto za parę, chociaż zupełnie nie rozumieli tego porównania.



Sięgnął ręką do czubka głowy i wstał, ściągając gumkę z włosów. Założył ją na nadgarstek, wrzucił kolejne kilka gratów do pudła i wyniósł je na korytarz, kątem oka zerkając w oparte o ścianę, wyjęte z ramy lustro. Uśmiechnął się mimochodem, wiedząc, jak bardzo śmiałyby się z jego obecnej fryzury. Teoretycznie, mieli wspólnie pozwolić krzywym, ostrym, krótkim cięciom zniknąć, ale ten jeden zakład wygrał w momencie, w którym ona zламala się i przejechała sobie po głowie maszynką do golenia. Była to kolejna odważna zmiana, która wyszła jej na dobre, co nie umniejszało jednak w żadnym stopniu satysfakcji, którą czerpał z jedzenia wygranej paczki żelków.

Wróciwszy do pomieszczenia, które niegdyś było pełnoprawną sypialnią, stanął przy pozbawionym firanek oknie i oparł dłoń o parapet. Na zewnątrz wciąż było jasno, ulicą co jakiś czas przejeżdżał samochód, jego niebieski rower stał przypięty do ogrodzenia przy chodnikowym drzewie. Nie mieszkał tu długo, jednak cztery pokoje przy Krowoderskiej szybko stały się dla niego centrum wypadowym; na dwóch kołach w piętnaście minut mógł dostać się prawie wszędzie, w razie niepogody wskakiwał w tramwaj, w plecaku zawsze nosił szczoteczkę do zębów i czysty podkoszulek. Pracował, uczył się, nie wracał

do domu na noc, walczył z wątpliwościami, ale zawsze cieszył się z tego, jak blisko jest świata; z tego, że w każdej chwili mógł wyjść, spacerować się po Plantach, popatrzeć na ludzi. Nie wyobrażał sobie powrotu na obrzeża miasta. Nie chciał mieć samochodu, od kilku miesięcy nie opłacał karty miejskiej, wciąż zastanawiał się, czy będzie miał gdzie jeździć rowerem. Wiedział, że będzie tęsknił za miejscem, które, w najbliższym czasie, planował opuścić.

Dlaczego właściwie robił to wszystko? Znow wrócił myślami do niej, zastanawiając się nad tym, czemu zawsze tak bardzo szarpała się z życiem. Wrzucała się w wir wydarzeń tylko po to, by nie musieć zbyt długo myśleć o przyszłości. Robiła głupoty, popełniała błędy, bywała nieszczęśliwa, kiedyś uciekła z domu, była kłótniwa, awanturnicza, mogła wydawać się toksyczna dla siebie i innych. Tak naprawdę zawsze miała w sobie jednak niesamowite pokłady energii; potrafiła poradzić sobie z każdym problemem, jak nikt inny motywowała go do działania. Bywały momenty, w których tylko dzięki niej opuszczał swój pokój. Tak naprawdę nigdy się nie kłócili, ona z czasem coraz lepiej radziła sobie ze złością, myśląc o tym teraz miał wrażenie, że dzięki sobie nawzajem stali się, być może, trochę lepszymi ludźmi. Skoro ona szarpała się wtedy z życiem, co on robił teraz? Może nie popadł w nałóg, nie trafił do więzienia, ani nie zrobił sobie dziary na czole, ale czuł, że jest zupełnie zagubiony i popełnia tylko złe decyzje. Pozostawiony na moment samemu sobie przestał wychodzić z domu, po miesiącu stan jego mieszkania nie tak bardzo się zmienił, dalej nie znalazł sobie satysfakcjonującego lokum i coraz poważniej zastanawiał się nad tym, czy może na jakiś czas nie wrócić do rodziców. Przerwa w pracy nie pomogła mu w poradzeniu sobie z nadmiarem myśli i obowiązków, które sam sobie narzucał. Za często odkładał wszystko na później, przez co zamiast przygotowywać się do trzech egzaminów musiał uczyć się na siedem, na co nie miał siły, spędzał większość czasu w łóżku i coraz rzadziej odbierał telefony. Miał wrażenie, że teraz radzi sobie znacznie gorzej niż wtedy, kiedy miał siedemnaście lat, ale nie dopuszczał do siebie myśli, że tak wygląda dorosłość. Wierzył, że przeżywał, po prostu, gorszy moment, że to minie i, uporawszy się ze wszystkimi problemami dnia dzisiejszego, wejdzie w kolejny z czystym sumieniem i pełną gotowością.

Lubił uciekać do starych zdjęć, do wspomnień. Nie musiał wtedy przejmować się wszystkim innym; wyprowadzką współlokatora, zbyt wysokim dla jednej osoby czynszem, tęsknotą za ludźmi, z którymi na tę chwilę utracił kontakt. W teorii miał do siebie dużo zaufania; w praktyce nie był do końca przekonany, czy w cokolwiek jeszcze wierzy. Potrzebował jakiegoś impulsu, konkretnego źródła motywacji, ale za nic nie potrafił go znaleźć. Chcąc odejść myślami od wszystkich kwestii zbyt trudnych, skierował się w stronę łóżka. Usiadł ciężko na twardym materacu, owinał się owleconą błękitną poszewką kołdrą i schował twarz w poduszkę.

Obrócił się kilka razy, usiłując znaleźć wygodną pozycję. W końcu ułożył się na plecach i otworzył oczy, by spojrzeć na biały sufit. Zamknął je ponownie, znow otworzył, przewrócił się na bok, zrzucił z siebie kołdrę, naciągnął ją na głowę, następnie zwinął w kłębek i objął ramionami. Zasnął, a ocknął się dopiero po kilku godzinach, wyrwany ze snu dźwiękiem dzwoniącego telefonu. Nie potrafił przypomnieć sobie, co działo się przed chwilą, zdawało mu się, że był w Parku Jordana, chyba padał deszcz, a on cholernie bał się o stan swojej deskorolki. Dlaczego, będąc w gimnazjum, nigdy nigdzie nie zabierał parasola? Zamiast tego chował deskę pod kurtką, było mu niewygodnie, zimno i chciał wrócić do domu. Zaraz po przebudzeniu nie do końca wiedział, gdzie jest i ile ma lat. Z początku nie mógł do końca otworzyć oczu, wydostał się z łóżka ciągnąc za sobą kołdrę, chwycił komórkę i przymglonym wzrokiem spojrzął na ekran.

— Cześć — odezwał się znajomy głos w słuchawce. — Kojarzysz może, czy nie została u ciebie moja kopia *Przebudzenia* Witkacego? Szukam, ale nigdzie nie mogę jej znaleźć.

— Jasne, jest taka szansa, pewnie gdzieś leży — odpowiedział, przeczesując rozczochrane włosy dłonią. Do tej pory, jego były współlokator wracał się już po trzy zagubione płyty CD, dwa podręczniki filozofii i kubek termiczny. — Mam ci ją gdzieś podrzucić?

— A masz wolną chwilę? — Usłyszał załączek uradowania po drugiej stronie linii. Nie, naprawdę, zazwyczaj nie dawał się wykorzystywać. — Wiem, że już późno, w ogóle to przepraszam, że dzwonię, dopiero sobie o tym przypomniałem...

— Daj spokój, nie ma sprawy. I tak potrzebowałem pretekstu do wyjścia z domu. Jesteś u siebie?

— U Miśki. Przynajmniej masz niedaleko, pada straszny deszcz.

— Już jadę — rzucił i rozłączył się. Schował telefon do kieszeni spodni i, wypłatawszy się z koldry, podniósł z podłogi książkę. Nie zamierzał za nią tęsknić. Nie przepadał za Witkacym.

Opuszczając zaskakująco przytulne o tej porze mury kamienicy, naciągnął na głowę kaptur. Przekręcił kluczyk w kłódce przy rowerze, zahaczył ją o ramę i ruszył przed siebie, w stronę Alei Trzech Wieszczów. Normalnie przeszedłby tę odległość na nogach, ale tym razem chciał jak najszybciej znaleźć się na miejscu. Żałował, że nie miał na sobie cieplejszej kurtki, jednocześnie czuł, jak krople deszczu przesiakają przez jego szmaciane trampki. Zatrzymał się na rogu Łobzowskiej, przypiął rower do kraty przy oknie czyjejs piwnicy i spróbował otworzyć drzwi kodem, który, jak mu się zdawało, dobrze pamiętał. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że stoi pod złą klatką. Pokręcił głową. Nie bywał tu za często, co nie zmieniało faktu, że zawsze popełniał ten sam błąd. Szybkim krokiem ruszył do kolejnych drzwi, wstukał sześć cyfr do elektronicznego zamka i zatrzymał się przed starą, obdrapaną, okratowaną windą. Ułamek sekundy zajęło mu zrezygnowanie z przejażdżki, dłuższą chwilę wspięcie się na ostatnie piętro. Zapukał w drzwi. Jego oczom ukazała się młoda dziewczyna owinięta ciepłym kocem. W jednej ręce trzymała kubek herbaty, drugą zapraszała go do środka. Miała przesadnie jasne, potargane włosy i ciepły, zmęczony, ledwo znajomy mu uśmiech.

Nie zdecydował się na wejście, zamiast tego zapytał o swojego znajomego, który chwilę później wziął od niego książkę i podziękował. Cała wymiana odbyła się prawie bez słów, oboje nie zdawali się być w nastroju na długie rozmowy.

— Zaczekaj — odezwał się w ostatniej chwili, tuż zanim właścicielka mieszkania zamknęła drzwi. — Paweł? Wydaje mi się, że zostawiłem coś między stronami. — Uważnie obserwował, jak jego były współlokator szybko przegląda książkę, po czym spomiędzy kartek wyciąga nieopisany portret.



— Kiedy ostatni raz do niej dzwoniłeś? — usłyszał pytanie, biorąc zdjęcie od znajomego. Do tej chwili nie był świadom, jak dużo musiał o niej opowiadać. Zdał sobie sprawę, że pewnie co rusz nadmieniał o niej mimochodem. Przypomniał sobie wieczór, kiedy z Pawłem wspominali czasy podstawówki, gimnazjum, liceum; tamten opowiadał mu o życiu przed Krakowem, studiach, o swojej dziewczynie. On lubił mówić o podróżach z rodzicami, książkach, które przeczytał, dawnych znajomościach... Poza wszystkim, tęsknił za posiadaniem współlokatora, co stwierdził, patrząc na niskiego, młodego mężczyznę w okularach. Nie byli zgodni w większości kwestii, ale oboje znajdowali upust części swoich uczuć w sobie nawzajem, kiedy czasem potrzebowali rozmowy.

Nie odpowiedział na zadane mu pytanie, zamiast tego pożegnał się, schował zdjęcie do wewnętrznej kieszeni kurtki i, zupełnie szczerze, obiecał odzywać się częściej. Zbiegając po schodach, spojrzawszy na zegarek, stwierdził, że wcale nie jest jeszcze tak późno. Wsiadł na rower i, nie zważając na deszcz, ruszył w stronę Wisły. Jechał Alejami, niezbyt dużo rozglądał się, niespecjalnie zwracał uwagę na ludzi. Gwałtownie zahamował, zobaczywszy nagle tuż przed sobą mężczyznę obwinieganego lampkami choinkowymi. Był w średnim wieku, zupełnie przemoknięty. Oboje ruszyli w swoje strony, przeprosiwszy się nawzajem za drobny wypadek. Pokręcił głową, strząsając z siebie zaskoczenie i znów jechał, skupiony mniej na tym, co przed nim, a bardziej, co w jego głowie. Myśli pędziły tam jak nigdy, czuł, jakby nagle obudził się ze zbyt długiego letargu. Nigdy nie spodziewał się, że książka Witkacego natchnie go do czegokolwiek, w końcu jednak znalazł w sobie motywację i siłę, zrozumiał, jakiego impulsu potrzebował.

Tak, ona też długo się nie odzywała, pewnie też powinna go przeprosić, w tej chwili nie obchodziły go jednak głupie urazy i żale. Tak naprawdę nic się przecież nie stało, a on tęsknił za nią, potrzebował jej wsparcia i po prostu chciał się z nią zobaczyć. Minęło trochę czasu, ale był pewien, że w taką pogodę, o tej porze dnia i roku, doskonale wie, gdzie jej szukać. Zatrzymawszy się na światłach dla pieszych przy Jubilate, ściągnął gumkę z nadgarstka i spiął włosy w ciasny kucyk. Uśmiechnął się. W jak najbliższym czasie miał szczerą nadzieję usłyszeć, że powinien zmienić fryzurę, bo wygląda jak skończony idiota.

## KATARZYNA ZARZYCKA, *Wystrzał*

„Wczorajszego wieczoru mężczyzna, lat 23, został potrącony przez tramwaj na skrzyżowaniu Alei Mickiewicza i Zwierzynieckiej, przed domem handlowym Jubilat. Mężczyzna jechał na rowerze, kiedy z naprzeciwka...” — Adelajda wyłączyła telewizor. *Rowerzyści*, prychnęła, ubierając czarną sukienkę. *Jakby nie stać ich było na porządne auto!* Na szczęście ona w centrum porusza się tylko dorożką. Być może mało opłacalnie, ale z klasą!

Podeszła do lustra i rowerzysta natychmiast wypadł jej z głowy: wyglądała znakomicie! Materiał sukienki opinał się akurat tam, gdzie miał się opinać, przez co jej figura wydawała się smukła, ale i ponętna. Głęboki dekolt, być może zbyt odważny, napawał ją dumą, tak samo jak lakierowane loubutiny! Pod Halą Targową szły już za 50 zł., a więc okazja nie do przegapienia, choć, gdyby ktoś ją zapytał, zaklnie się, że kupiła je na Champs Elysees. Odrzuciła do tyłu burzę blond loków i sięgając po mascarę, usłyszała dzwonek do drzwi. *Nareszcie*, pomyślała. Dźwięk nie ustawał, ale Adelajda nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. *Przecież ma klucze*. Spokojnie dokończyła makijaż i ruszyła do drzwi. Zanim jednak dosięgła klamki, w zamku coś się przekręciło, drzwi otworzyły się gwałtownie i Adelajda została powalona na ziemię przez stworzenie, które przykleiło jej się do nóg, wrzeszcząc przeraźliwie najobrzydliwsze znane Adelajdzie słowo:

— BABCIU!

— Mówiłam ci, Gryzeldo, nie nazywaj mnie babcią... — mruczała Adelajda, gramoląc się z podłogi. Co prawda, w tańcu była giętka niczym kot, ale raz przewrócona, czuła w kościach swoje 70 lat. Za Gryzeldą do mieszkania weszli jej rodzice, ze zdziwieniem spoglądając w dół.

— Gryzeldo, natychmiast przeproś Adelajdę! — rozkazała matka.

— Sorry, zapomniałam Adelajdo! — korzyła się 10-latka. Kiedy babcia była zajęta wstawaniem z podłogi, dziewczynka rzuciła nienawistne spojrzenie na rodziców. Jej matka nakazała wzrokiem bezwzględna ciszę, po czym przeniosła ten wzrok na męża, z którego



twarży można było wyczytać, że chce powiedzieć coś niemiłego. Pod naciskiem żony, Eustachy niechętnie jednak zrezygnował i powiedział tylko:

— Witaj Adelajdo!

— Eustachy! — Twarz Adelajdy wykrzywiła źle skrywana niechęć. — Ty ciągle z Wandą? Do dzisiaj nie mogę pojąć, że wychowana w tak kulturalnym domu, wyszła za mężczyznę pracującego w pierwszej lepszej firmie informatycznej!

— Google to nie jest pierwsza lepsza firma informatyczna! — obruszył się Eustachy.

— Poza tym, jestem tam dyrektorem!



— Dyrektor nie dyrektor, ale artystą nie jesteś! — parsknęła Adelajda.

Miała tego po dziurki w nosie. Eustachy, ta niedojda życiowa, jak każdy mężczyzna, nieustannie pragnął się przed nią popisać, ale nie robiło to na niej wrażenia. Jej przybrana rodzina, nowa wersja starej, krakowskiej bohemy, nie spłodziłaby kogoś takiego, jak Eustachy. Te wąsy, te przerzedzone włosy, marynarka jak z Tandety, ktoś taki nie rozumie nawet słowa „hipster”!

— Babciu! — wyrwał ją z zamyślenia głos małej czarownicy. Adelajda niechętnie zwróciła na nią oczy i uśmiechnęła się najpiękniej jak umiała, zastanawiając się, czy w młodości zapomniała wyjaśnić córce, czym jest antykoncepcja — Kiedy dostanę moje kieszonkowe? — Pozbawiona dwóch przednich zębów buzia uśmiechała się do Adelajdy, ale oczy pozostawały zimne jak sople lodu, który, Adelajda nie miała co do tego wątpliwości, gdyby tylko znalazła się odpowiednia chwila, przebiłby jej serce na wylot.

— Gryzeldo! — skarciła ją znowu matka.

— Musisz chwilę zaczekać, kochanie — zagruchała Adelajda — bo nie przygotowałam ci jeszcze twojego prezenciku! Tymczasem pozwólcie, że zaparzę herbatę. — Odetchnęła z ulgą, znajdując wreszcie pretekst, żeby wyjść z zatłoczonego przedpokoju. Poczłapała do kuchni, udając, że nie słyszy wzburzonego szeptu za plecami. *Rodziny się nie wybiera*, pomyślała, masując sobie plecy. *Ciekawe, czego tym razem chcą*. Dopiero wczoraj dostała wiadomość od córki, że muszą pilnie porozmawiać, co nie tyle ją zdziwiło, co zniesmaczyło. Czy ona sobie wyobraża, że Adelajda nie ma żadnych planów na kolejny dzień? Że jak inne kobiety w jej wieku siedzi całymi dniami i ogląda „Ranczo”, popijając herbatę z cytryną? Przez tę niegrzeczną wizytę musiała odwołać swoją rezerwację w kawiarni Charlotte, przełożyć spotkanie ze specjalistą od fengshui, a na dodatek opuścić trening crossfitu. *Tego już za wiele*, myślała, wymigując się wczoraj u instruktorki nagłym katarem, *żeby nawet crossfit!*

Położyła na tacy kubki z yerbą, wzięła słomki i z wyrazem męczennicy na twarzy wmaszerowała do salonu, gdzie jej rodzina ułożyła się wygodnie na różowych pufach.

— A więc... — zaczęła Adelajda, rozdając każdemu kubek (Gryzelda powąchała napój i, za plecami babci, odegrała scenę wymiotowania). — Co was dziś do mnie sprowadza?

Rodzina wymieniła spojrzenia (Gryzelda, spróbowałszy łyk yerby, szybko wypłuła go za pufę).

— Postanowiliśmy przygarnąć nowego członka rodziny... — wykrztusiła w końcu Wanda (Gryzelda cierpięcniczym wzrokiem wpatrywała się w kubek). — Nazywa się...

— Nie wierzę! — Adelajda zerwała się na równe nogi. Jej twarz zrobiła się popielatoszara i przez chwilę nie mogła złapać tchu. Twarz Eustachego zdawała się mówić: „Wiedziałem”, a Gryzelda zapatrzyła się wielkimi oczami w babcię. Zawsze lubiła, kiedy ta dostawała szału, bo jeździli potem do fajnej kawiarni, gdzie rodzice kupowali sobie po kieliszku musującego napoju, a ona dostawała pucharek lodów.

— Nie, to nie tak, jak myślisz! — próbowała wyjaśnić skołowana Wanda, ale matka nie dała jej dojść do słowa (Gryzelda dostrzegła doniczkę ze śmiesznymi listkami).

— Tak, wszystko jasne! Wiedziałam, że tak to się skończy! — lamentowała Adelajda. — Najpierw poślubiasz informatyka, rzucasz weganizm, a potem adoptujesz dziecko! Nijakie polskie dziecko! — rozłożyła ręce zgorzsona. — Mogłabyś dodać temu jakiejś magii, powiedzieć mi, że znalazłaś na ulicy albo chociaż, że wyrosło z nasiona chia, jak Calineczka, tymczasem ty prosisz...

— Przede wszystkim o nic cię nie proszę — weszła jej w słowo Wanda (Gryzelda zaczęła podlewać roślinkę yerbą). — Poza tym wcale nie powiedziałam, że adoptujemy jakieś dziecko! Eustachy...

— No tak, Eustachy! — zawołała Adelajda, zwróciwszy swą furię na kulącego się na pufie Eustachego. — To było do przewidzenia! Powiedz mi mój drogi, która to? — wyszczała nienawistnie. — Sekretarka? Pokojówka? Widzisz, Wandziu, ja już od dawna wiedziałam, że nic dobrego z tego małżeństwa nie będzie! — załamała ręce. — Nie dość, że nie artysta, to jeszcze zdradza cię i ma czelność przychodzić do ciebie z bękartem!

— A co to bękart? — przerwał jej piskliwy głosik Gryzeldy (roślina upojona yerbą dogorywała).

— „Bękart” to ten nowy członek rodziny — wycodziła Adelajda.

— Puffy? — wykrzyknęła uradowana odkryciem Gryzelda.

— Nazwaliście dziecko „Pafy”? — Adelajda złapała się za serce.

— No co ty, babciu — Gryzelda popatrzyła na nią jak na nienormalną — przecież Puffy to pies.

Dziewczynka pobiegła na korytarz, zostawiając babcię zmagającą się z natłokiem własnych myśli. Po pierwsze, nienawidzi zwierząt. Jest przecież weganką. Po drugie, pies i jej łóżko wodne? Co to, to nie. Po trzecie, co, do jasnej cholery, stało się z jej ziołem?!

Po chwili dało się słyszeć szczekanie i nim Adelajda się obejrzała, znów leżała na ziemi, będąc oblizywaną ze wszystkich stron przez wielkie, kudłate bydlę.

— Zejdź ze mnie, potworze! Ale już! I nie zlizuj mi podkładu! — darła się ze wszystkich sił — Że ty w ogóle masz czelność zbliżyć się do mnie, ty bestio, jakim prawem...

— Puffy, do nogi! — na komendę pies odstąpił niechętnie od swojej nowej przyjaciółki i Adelajda, odsunąwszy się na bezpieczną odległość, mogła przyjrzeć mu się lepiej. Był to dog niemiecki, postury niebagatelnej, ze spiczastymi uszami i długim nosem. Od razu wiedziała, że go nie lubi.

— W ten piątek wyjeżdżamy do Warszawy na dwa dni i chcieliśmy, żebyś się nim zajęła przez ten czas — wyjąkała Wanda.

— Ja? I pies? — To przekraczało ludzkie pojęcie. Nie zamierzała owijać w bawełnę — Nie zostawicie tego kundla w moim domu. — Pies pomierdał ogonem, a ślina skapnęła mu na dywan. Fúj.

Wanda i Eustachy wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a Adelajda zaczęła przypuszczać, że przygotowali się na taką odpowiedź.

— To może zrobisz nam jeszcze yerby? Gryzelda już swoją wypila, a na pewno chciałaby więcej. — Eustachy podejrzanie wyszczerzył zęby, nie dostrzegając, że córka zbladła na słowo „yerba”.

— No dobrze, ale zaraz potem wyprowadzacie tę bestię — warknęła.

Niechętnie wycofała się do kuchni. *Zawsze tak jest, najpierw cisza w telefonie przez miesiąc, a potem zjawiają się na progu z kundlem, prosząc o drobną przysługę...*

HUK. Drzwi zatrzasnęły się gwałtownie.

Adelajda w te pędy wróciła do salonu, tylko po to, by stanąć w twarz z dwojgiem oczu wpatrujących się w nią z zainteresowaniem. Po gościach nie było ani śladu. Adelajdzie zdawało się, że pies wyśmiewa jej głupotę.

— Ani mi się waź tak się uśmiechać — warknęła. — Jak ci tam było? Paffy? Pifi? Jeden pies...

Westchnęła głęboko i w jej nozdrza wdarł się obrzydliwy zapach sierści. Korzystając z jej chwilowego zawahania, pies z obnażonymi kłami rzucił się na pufę. Pobiegnęła za nim, ale już przerzucił się na zasłony, które otrzymały postrzępione wykończenie i, uporawszy się z tym, skoczył do sypialni, gdzie pogryzł poduszki, kołdrę i prześcieradła. Ukończywszy dzieło zniszczenia, czmychnął do toalety, gdzie najwyczejniej w świecie zaczął chleptać wodę klozetową. Adelajdzie nie pozostało nic innego jak siąść i płakać.

— Ty zapchlony kundlu... — wyszeptwała. Wtedy też podjęła decyzję. Odda go do schroniska na te trzy dni, niech tam się nim zajmą, ona umywa ręce. Cóż by powiedzieli jej znajomi z Bunkra, gdyby wparowała tam z psem? Adelajda nie mogła sobie pozwolić na takie poniżenie. Ona ma znajomych. Ona ma crossfit.

Rzuciwszy nienawistne spojrzenie na psa, którego zamierzała od teraz nazywać Pif-Pafem, podeszła do szafy i wyciągnęła płaszcz od Prady (jej najlepszy zakup na przecenach w Biedronce), po czym sięgnęła po swój najnowszy nabytek i największą dumę — piękny, czarny parasol Burberry. Oszczędzała na niego przez kilkanaście miesięcy (musiała kupować „Vive” zamiast „Vogue’a”, a co gorsze zrezygnować z najnowszego iPhone’a 8, którego mają jej wszyscy znajomi, i cichaczem używać starej Noki). Teraz trzymała go w rękach, kontemplując charakterystyczną kratkę na wewnętrznej stronie. *Wszyscy umrą z zazdrości! Czyż nie na tym właśnie polega hipsterstwo, pomyślała przekornie, na byciu innym niż wszyscy? A takiego parasola nie ma nikt*, uśmiechnęła się do siebie i sięgnęła po smycz.

Padalo niemilosiernie, ale cóż zrobić? Nie miała pojęcia w jaki autobus wsiąść, a Pif-Paf nie pomagał, obsikując każde napotkane drzewo. *Po prostu świetnie!* W końcu nadjechał jakiś autobus, a Adelajda wciągnęła psa do środka. Parasol położyła pod najbliższym krzesłem, żeby trochę wysechł i przez resztę podróży bombardowała Pif — Pafa wzrokiem. Co za upokorzenie! Chłopak siedzący przed nią w końcu wyszedł i mogła usiąść, kryjąc się przed ciekawskimi oczami. *Nigdy nie wiadomo, kiedy spotka się znajomych.*

Pies zajęty był obwąchiwaniem butów współpasażerów, i nagle, wywąchawszy coś obiecującego, zaczął lizać tenisówki wysokiego chłopaka w szaliku w biało-czerwone pasy.

— Co do k\*\*y-nędzy?! — wykrzyknął ten, poderwawszy nogę. Zamachnął się, jak gdyby chciał kopnąć Pif-Pafa, ale pies był szybszy i odskoczył w bok, przez co noga chłopaka wylądowała na piersi postawnego mężczyzny z wielką, białą gwiazdą na bluzie. Mężczyźnie wystarczył rzut oka na jego szalik, żeby wymierzyć porządny cios. Chłopak skulił się, ale już po chwili poderwał się, wrzeszcząc na cały tramwaj: „Tylko Pasy!”. Krzyk jego rywala utonął we wrzawie tupotu stóp, wyzwisk i wrzasków. Cały autobus zamienił się w pole walki, pięści, paznokcie, noże waliły, drapały, cięły bezlitośnie, a niedobitki pasażerów kulili się pod krzesłami.

— Nieprawdopodobne — mruzczała Adelajda — zamiast wyżywać się w literaturze, sztuce... O, to chyba nasz przystanek — ucieszyła się i schyliła głowę, żeby odczytać nazwę, ratując się przed przelatującą nad jej głową maczetą. Popędzając Pif-Pafa, wyminęła leżącego w kałuży krwi bezzębego kibica i wysiadła z autobusu. Dotarła na Kazimierz, była z siebie dumna. A co do psa... na miejscu kibica Cracovii postąpiłaby tak samo, przecież kundel obsikał mu Reeboki!

Nagle jej trzewia wykrzywił strach niepodobny do niczego, co kiedykolwiek przeżyła. Spojrzała za siebie, we wciąż otwarte drzwi autobusu, licząc, że to tylko zły sen. Niestety. Pod krzesłem nie było parasola.

Ciemność. Jakiś głos. Obudzilo ją sapanie Pif-Pafa. Leżała na chodniku, a jakaś kobieta próbowała ją podnieść.

— Czy wszystko z panią w porządku? — zapytała zatroskana. Adelajda dostrzegła czerwony beret i różową kurtkę, co natychmiast ją ocuciło. *Czy ci ludzie to daltoniści?*

Poderwała się z ziemi najszybciej jak się dało, co zaskutkowało nagłym strzyknięciem w karku.

— Czy zadzwonić po kogoś z rodziny? A może do domu spokojnej starości? Czy ma pani ze sobą leki? — kobieta nie dawała za wygraną.

— Wszystko ze mną w porządku, zemdlalam, bo wydarzyło się coś okropnego! — rozjuszona Adelajda omiatała wzrokiem Plac Nowy. Zignorowała kobietę, która chciała coś jeszcze powiedzieć, zgarnęła z ziemi swoją eko-torbę i pociągnawszy szczekającego Pif-Pafa, pomaszzerowała na drugą stronę ulicy. Kto jak kto, ale Kazimierz Adelajda znała jak własną kieszeń. Ach te cudowne noce, kiedy mogła szaleć tu w klubach, spacerując potem do białego rana, a czasem nawet do dwudziestej drugiej po wszystkich zaułkach. Mężczyźni, których tam usidlała, zawsze zabierali ją później na romantyczną randkę — czy to na zapiekankę z cebulą czy to na kufel piwa. A ona, jak gdyby śpiesząc się do domu, dziękowała im za kurtuazję i żeby nie wyjść na „łatwą”, całowała ich tylko na pożegnanie w policzek, nie omieszkawszy zostawić im swojego numeru. Wstyd przyznać, ale w tym wieku pamięć już nie ta, pewno myliła się w cyferkach, bo nigdy żaden nie oddzwonił.

Teraz podążała rażno ulicą Wawrzyńca i wykręcała po kolei numery ludzi, którzy gotowi byli oddać za nią życie.

— Halo, Zygryd? Nie dzwonię w sprawie biletów, wiesz przecież, że koncerty są mainstreamowe. Sprawa jest taka, że zaginął mój parasol. Tak, Burberry! Ukradli mi go! Ale co za różnica, czy mam jeszcze parasol czy nie? Halo?

— Cześć, Stefania! Byłaś na akupunkturze? Jak to nie działa? Słuchaj, zginął mój parasol od Burberry... No mówię, że go nie mam. Czekać, nie rozłączaj się!

— Damian! Jesteś na Placu Zbawiciela? Ale powiedz mi czy jesteś w stanie namierzyć parasol... Tak, ten, który obiecałam ci pożyczyć! Zaginął! Jak to nie masz zasięgu? Damian!

Po piętnastym telefonie jej baza kontaktów się wyczerpała. Popatrzyła tępo w wyświetlacz starej Noki. *To chyba jakiś żart. Cały świat krakowskiej hipstery wyparł się jej. Znikąd pomocnej dłoni. Czy ta banda pseudo-artystów chce wykluczyć ją, Adelajdę von Buczek-Skwirczyńską, z życia towarzyskiego tylko dlatego, że zgubiła parasol? Fakt faktem, najdroższy, jaki kiedykolwiek trzymała w dłoni, z tą geometryczną kratką, którego nie omieszkala zabrać na ostatni wernisaż w MOCAKu. Kiedy weszła do środka, oczy wszystkich zgromadzonych wędrowały od obrazów Pollocka do jej parasola, każdy gratulował jej stylu, klasy... A teraz? Gdzie tych 500 przyjaciół z Facebooka? Nie ma już nikogo na tym świecie, prócz...*

— Pif-Paf! — jej blada furia padła na przegryzającego koła roweru psa. — To wszystko przez CIEBIE! Mój parasol nie zginąłby, gdyby nie ty! Już ja się z tobą rozprawię!

W jej głowie kielkował morderczy plan. Szybko zakupione piwo z sokiem znieczuliło ją przed tym, co chciała zrobić. W jednej ręce ściskając portfel z wężowej skóry, a w drugiej, ciągnąc smycz jak łańcuch skazańca, prowadziła psa na jego Golgotę — do budki z naleśnikami.

Przeczytała kiedyś, że czekolada jest dla psów trująca, słodka to będzie więc zemsta, gdy poczęstuje go „Bestsellerem z Nutellą”. Zaparło jej dech na myśl o tak przebiegłej zbrodni. Głos jej drżał, gdy zamawiała truciznę. Podczas niekończącego się oczekiwania spojrzała raz jeszcze w mordkę, która śliniła się na zapach jedzenia. *Sam sobie zgotowałeś taki los*, myślała ze smutkiem Adelajda. Naleśniki już były gotowe. Czekoladowa ciecz wypływała z nich jak krew...

W tym momencie Pif-Paf, jakby tknięty przecuciem, skoczył w bok, sprawiając, że naleśniki rozplaskaly się na chodniku. Zanim zdążyła zamordować go gołymi rękami, pies puścił się biegiem, a Adelajda, chcąc nie chcąc, zmuszona była pobiec za nim. Smycz zaplątała się wokół jej nadgarstka i teraz z całych sił starała się wyswobodzić. Lampa, kawiarnia, buty od Armaniego, turyści... ŁUP!

Adelajdzie przed oczyma latały gwiazdy, kiedy, przeklinając psa, podnosiła się z chodnika.

— Może pani pomożę? — usłyszała nagle głęboki głos. Jej wzrok zatrzymał się na lakierowanych butach, powędrował do skrojonego na miarę garnituru, zatrzymał się dłużej na złotych spinkach do mankietów, by w końcu spocząć na mało atrakcyjnej brodatej twarzy. Mężczyzna uśmiechał się bezzębny uśmiechem, który od razu ją odrzucił, a siwe włosy związane w kucyk nie poprawiały pierwszego wrażenia. Mimo to Adelajda zmusiła się, żeby podać mu rękę.



— Bardzo pana przepraszam, to wina tego kundla! — żąchnęła się.

— Przecież to dog niemiecki! — mężczyzna wytrzeszczył na nią oczy. — Poza tym to moja wina, stałem w niefortunnym miejscu! Chociaż może właśnie fortunnym... — dodał kurtuazyjnie.

*Cudownie, teraz podrywa mnie staruszek*, westchnęła w duchu. Od kłopotu pozbycia się go wybawił ją nagły deszcz. W przeciągu kilku sekund lunęło jak z cebra. Adelajda owinęła się mocniej szalem i już chciała pociągnąć Pif-Pafa, gdy poczuła dłoń na swoim ramieniu.

— Może chociaż da się pani odwieźć do domu? — W jednej ręce trzymał parasol w kratkę, a w drugiej kluczyki do purpurowego Ferrari. Adelajda zmierzyła go raz jeszcze spojrzeniem — zmarszczki na czole zwiastują inteligencję, tak czytała — a potem zerknęła na wyglancowany samochód i mrugnawszy do Pif-Pafa, wzięła mężczyznę pod ramię. Zawsze ceniła sobie gentlemanów. A już zwłaszcza tych inteligentnych.

## WITOLD SERWATKA, *Powrót*

Brama była wąska, wysoka i prowadziła do klubu, z którego właśnie zostali wyrzuceni. Za dnia przychodzą tutaj czasem bezdomne osoby opowiadające różne historie, by na koniec prosić o pieniądze. O 22:00 w piątek stała tutaj grupa młodzieży.

Oparł się o ścianę bramy. Chciał być gdzieś indziej. Ktoś przyszedł ze sklepu z butelką zębówki i pepsa. Nastolatkowie zaczęli nieśmiało pić, rozglądając się na wszystkie strony. Zaczął marzyć o książce. Nie wiedział, co tu robi, ani dlaczego piętnaście osób, które prawie się nie znają, przychodzą się spotkać na Placu Szczepańskim po to, aby podzielić się o, 7l wódki. Uważał, że cała sytuacja była dla biorących w niej udział poniżająca, ale także w pewnym sensie śmieszna. Zastanawiał się, dlaczego w ogóle szesnastolatki sięgają po alkohol. Wszyscy członkowie tego spotkania pochodzili z dobrych rodzin, chodzili do prestiżowej szkoły, nie mieli zmartwień. Ktoś wyciągnął papierosa.

Miał dość.

— To ja już idę — powiedział.

Nikt nie zwrócił uwagi na jego słowa. Nie miał z tym problemu. Nie zależało mu na tamtych. Chciał uciekać. Zaczął iść w kierunku przystanku. Usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się.

— Czemu idziesz? Jest jeszcze wcześniej. Czemu jesteś taki smutny?

Nie chciał się wdawać w dyskusję o tej porze w takim miejscu. Dziewczyna go nie obchodziła. On też był jej obojętny. Odezwała się jedynie z grzeczności. Nie lubiła, kiedy ktoś w jej otoczeniu czuł się źle, jednak gdy tylko dana osoba zniknęła z jej pola widzenia, przestawała ją interesować.

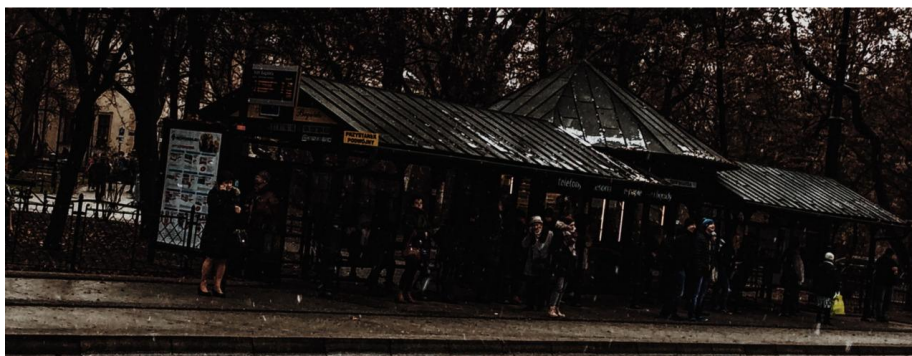
— Ach, tak czasem mam po prostu. Nie lubię ludzi...

Musiał sobie przerwać. Nie chciał dyskutować o swoim charakterze. Chciał iść. W ręku już trzymał słuchawki. Wiedział, że dziewczyna się nim nie interesuje.

— Muszę iść, bo wstaję jutro rano bardzo wcześniej. Jadę dokądś. Zresztą nie żałuję, nie lubię alkoholu.

Dziewczyna coś powiedziała, jednak on jej już nie słuchał. To prawda, nie lubił alkoholu. Nie wiedział, dlaczego w ogóle czasem pił. Pod wpływem wódki stawał się smutny, tak, jakby jego pewność siebie topniała. Poza tym lubił trzeźwo myśleć.

Wsadził słuchawki w uszy, włączył pierwszą lepszą piosenkę i ruszył przed siebie Plan-tami na najbliższy przystanek tramwajowy. Linia 18 jeździ o tej porze co około 20 minut, autobusy do domu z pętli co około 15 minut. Miał nadzieję być w domu za 45 minut. Na przystanku było kilkanaście osób. Nie zwrócił na żadną zbytnej uwagi. Stał nieco z boku i oparł się o słup. Znikąd po jego prawej pojawił się jakiś pan w jasnobrązowej kurtce. Z początku jego słowa były niesłyszalne.



— Proszę?

— Pan pracuje?

Nie wiedział, co zrobić. Nie był w humorze do rozmów z nieznanymi. Tramwaj miał przyjechać za 6 minut.

— Nie.

— Student?

— Nie.

— A. Ja, tego... Mam pytanie... Miałby pan pożyczyć pieniądze na bilet?

— Jasne.

Włożył słuchawki do kieszeni. Wyjął szybko portfel, znalazł monetę i dał ją nieznanemu. Powinna była wystarczyć nawet na dwa bilety. Pan w jasnobrązowej kurtce wydawał się zawstydzony swoją prośbą. Położył rękę na jego ramieniu.

— Dziękuję... Będę się za pana modlił.

Nieznamy odszedł w swoją stronę. Ludzie na przystanku wydawali się nie zwracać uwagi na całe zajście.

Wyjął z powrotem słuchawki. Zaczęła lecieć smutna piosenka. Chciało mu się płakać. Uważał, że taka drobnostka jak pożyczenie pieniędzy na bilet powinna być oczywista. Ludzie czasem zadłużają się u społeczeństwa, a on właśnie spłacił, choć po części, swój dług.

Tramwaj miał przyjechać za dwie minuty. Ludzi na przystanku zaczęło przybywać. Nagle po drugiej stronie ulicy ujrzał parę. Wydawali się o czymś rozmawiać. Byli niczym dwie czarne postacie na tle lampy ulicznej. Nie słyszał, co mówią. Po chwili zrozumiał, że coś jest nie tak. Klócili się. Dziewczyna zdawała się płakać. Chłopak próbował ją uspokoić. Trzymał ją, czasem się schylał. Prawdopodobnie płakał. Chciała odejść. W tle leciała smutna piosenka. Całość przypominała scenę z filmu. Patrzył na nich. Nie słyszał, nie czuł, po prostu obserwował. Wydawało mu się to dziwnym doświadczeniem. Zastanawiał się, dlaczego ludzie zgadzają się na kilka, kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt miesięcy szczęścia wiedząc, że na koniec przyjdzie najokropniejszy dzień w ich życiu. Postanowił nigdy nie popełniać tego błędu. Dziewczyna odeszła, płacząc. Chłopak kucnął. Wydawał się załamany.

Tramwaj przyjechał. Ludzie wysiedli i wsiedli. Usiadł na siedzeniu w tylnej części pojazdu. O tej porze jechało mało ludzi, ryzyko konieczności ustąpienia miejsca było minimalne. Miał pesymistyczne myśli. Nie wiedział, że biorą się z jego uczuć, a czuł się załamany. Przejechał w bezruchu kilka przystanków.

Kiedy dojeżdżał do pętli, do tramwaju weszła pani, ubrana w szlafrok i klapki. Za nią wszedł pan z butelką piwa w ręku. Ona chciała gdzieś jechać, komuś pomóc. Mężczyzna przytrzymał drzwi do tramwaju. Próbowaly się zamknąć, lecz ten je odpychał. Co kilka sekund było słycać charakterystyczne buczenie. Pan stanowczo sprzeciwiał się ucieczce pani. Ich kłótnia obracała się wciąż wokół tego samego tematu. Gdyby nie konieczność trzymania drzwi, mężczyzna prawdopodobnie siłą wyciągnąłby kobietę z pojazdu.

Siedział na tylnym siedzeniu. Był bardzo zmęczony. Cała scena wydawała się niezrozumiałą, absurdalną i surrealistyczną komedią. Nie podążał za biegiem dyskusji obu osób. Miał coraz bardziej przygnębiające myśli. Nie miał nawet siły wrócić do domu, co dopiero

iść spać. Zасыpanie wydawało się nadludzkiem wysiłkiem. To był pierwszy z wielu takich dni, które miały dopiero nadejść.

Dwoje ludzi dalej dyskutowało. W końcu podszedł do nich jakiś pasażer i zrugał ich za przytrzymywanie drzwi, które musiały się zamknąć, by tramwaj mógł ruszyć dalej. Mężczyzna postanowił jechać z kobietą.

Nie widział, gdzie wysiedli. Podczas całego zajścia siedział w bezruchu. Nie był już w stanie uchwycić więcej bodźców tego wieczoru. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu i położyć spać, byle tylko zakończyć ten dzień. Gdy dojechał do pętli, zauważył, że padało. Było mu wszystko jedno, czy się zmoczy. Pojedynczy ludzie biegali po pętli, wskazując szybko do czekających pojazdów. Autobus odjeżdżał za dwie minuty. W samą porę. Powolnym krokiem wszedł do niego i ciężko usiadł na jednym z siedzeń. Kraków powoli oddalał się za zasłoną deszczu, ciemności i smutku.

## JUSTYNA PIETRZAK, *Treści wyrwane życiu*

\*

Pamiętasz, gdy byliśmy młodsze? Klębiły się w nas myśli niewinne, nie-doświadczone i niemające dla nas wtedy, poważnego wydźwięku. Całkiem mimowolnie zakotwiczyły się w naszej podświadomości tak głęboko, że oddziaływały na nasze następne dni życia aż do momentu, w którym zdałyśmy sobie z tego sprawę...

Gdy pierwszej sylwestrowej nocy urządzałyśmy sobie na strychu nasze królestwo, dumne, że udało nam się pozyskać zgodę rodziców. Pamiętasz? Czuliśmy się godne swoich marzeń, stałyśmy się, na tę najważniejszą noc w roku, księżniczkami, bo właśnie tak chciałyśmy. To był nasz pierwszy wspólny sukces, po nim wszystko następne miało iść równie gładko. Chciałyśmy zawojować świat. Pewnie usłyszałyśmy to zdanie od dorosłych. Snułyśmy odważne plany — jak na tak młody wiek, zresztą może właśnie przez tak młody... Ja miałam być prezydentem. Ty marzyłaś o byciu światowej sławy piosenkarką. Popierałam cię. Mówiłam, że świat staje się magiczny, gdy śpiewasz. Wśród tańczących promieni płynących z latarek spod prześcierań rozbrzmiewały nasze śmiechy, klębił się czas i wirowało nasze szczęście. Naiwnie myślałyśmy, że przyszłość będzie prosta i klarowna, i, że to dorośli wszystko sobie zanadto komplikują. Z optymizmem patrzyłyśmy w przyszłość. „Kto, jak kto, ale my nie damy sobie wejść na głowę!” Tak szybko od tego odeszłyśmy... Pewnie to też gdzieś usłyszałyśmy. Większą trwałość ma to, co rodzi się z nas samych. Jeśliby zniknęło, znaczyłoby to, że umiera jakaś nasza część.

A tu szybko okazało się, że życie, jak żadna inna bajka, może zmienić sens, a bohaterowie mogą się w niej pogubić prędzej, niżby przypuszczano.



*pierwsze królestwo*

\*

— Nie zamierzam stresować się sytuacją tylko z pozoru, czy przepraszam, w teorii, straszna. To, co nowe, zawsze budzi niepokój, nawet i lęk. Ważne, by zwyciężyć strach, prawda? — Stanowczy ton Diany bardziej uspokoić miał ją samą, niż przekonać współlokatorkę. Przewracała się zdenerwowana na łóżku, wiedząc, że powinna już spać. Jutro rozpocznie nowy rok szkolny. Chciała wyglądać dobrze i z pełną świadomością odbierać to, co się będzie wokół niej działo.

— No jasne... Nie wiemy, co nas jutro czeka, ale myślę, że otwierają się przed nami nowe możliwości! Kraków to przecież „duże i ciekawe” miasto — zaczęła podekscytowana Julia.

— Cieszę się, Julka, że do wszystkiego podchodzisz tak optymistycznie. Ale duże i ciekawe może znaczyć tyle, co stwarzające problemy. Uważam, że przeprowadzka do Krakowa to z naszej strony bardzo odważna, ale i słuszna decyzja. Chciałabym zacząć ten nowy rozdział w moim życiu dobrze. Przed nami czysta kartka. Ileż już razy moje starania, dążenia nie przynosiły oczekiwanego rezultatu. Może za bardzo chcę... Za bardzo się spinam, blokuję! Chodzi o to, że boję się niepowodzenia — wyznała, smakując każde słowo. — Różne myśli krążą mi po głowie, męczą mnie już. I wiesz co? Położę się teraz spać z nadzieją, że podjęłyśmy właściwą decyzję. — Diana zakończyła elegancko.



— Ha-ha-ha. Według mnie nie uciekniesz od niepowodzeń, towarzyszą każdemu człowiekowi — Julka przeciągała znacząco ostatnie nuty każdego słowa — Źródła błędów, czynów, działań są w nas. Ale też nie wszystko od nas zależy. Nie ludźmy się, że tym razem kartki naszego życia zapisywać będziemy tylko sukcesami — dopowiedziała.

— Ale możemy się postarać! Zrobić coś lepiej, coś naprawić, nie popełniać tych samych błędów! Ciągłe się rozwijamy i zmieniamy, walczymy ze swoimi słabościami i...

— Próżnością? — dokończyła zjadliwie Julka, wystawiając język.

— Próżności młodości! — odparowała Diana i przewróciła się na drugi bok.

— Hej, wiesz, że prawie wszyscy tu palą i mają w ogóle jakiś dziwny styl życia? — po krótkim milczeniu odezwała się Julka.

— Na pewno nie wszyscy, daj spokój — powątpiewała Diana.

— No ok, ale na pewno większość — upierała się jej koleżanka.

— „Nawet nie większość wszystkich, ale mniejszość.” Zdaje Ci się, pewnie dlatego, że się tym afiszują, chcą być dorośli i zauważeni — odparła Diana.

— No, a co w tym złego? — przerwała Julka.

— Wiesz, jak łatwo można się pogubić? Sama obawiam się, czy fakt, że coś się rozpowszechniło, wtopiło w obrazy codzienności, nie wpłynie na zmianę mojego wartościowania, że to, co było dotychczas dla mnie białe, stanie się szare lub czarne i odwrotnie. Zresztą, Julka, proszę, nie gadajmy już, śpij! — próbowała zakończyć Diana.

— Wiesz, co jest fajne? Że postrzegamy świat na zasadzie kontrastu, jesteśmy strasznie różne, mamy inne spojrzenia, zdania...

— A jesteśmy sobie tak bliskie? To chciałaś powiedzieć? — z udawanym znużeniem podsunęła Diana.

— No właśnie, o to mi chodziło! No dobrze, dobranoc. — Posłały sobie uśmiechy w ciemności i jeszcze chwila musiała minąć, zanim uporządkowały pobudzone myśli i zasnęły.

\*

W zamyśleniu wpatrywała się w nieustannie przemierzaną przez ludzi ulicę. Obserwowała każdą pojedynczą osobę i wszystkich jednocześnie, jakby w przeświadczeniu, że jednostka jest obiektem zgoła różnym, niżby ten, którego umiejscowić trzeba w grupie i odbierać pod kątem całości. Wystukiwała rytm przebiegu swych myśli, uderzając cicho palcami w blat kawiarnianego stołu. Były na nim kawa, rumiany croissant, książka Chmielewskiej i notesik otwarty na zapisanej stronie.

Słowa były niepokojące, niejednoznaczne, wcale niełatwe...

Przemierzamy wszyscy ścieżki obrane przypadkiem. Zdani na los czy zaufanie w wierze. Pewnie są też „giganci”, z wyboru idący w swą stronę. Wszystko mają poukładane i przemyślane, nie robią na nich większego wrażenia okoliczności, sytuacje zmienne. Mają jasną, konkretną wizję, nie pozwolą sobie zniszczyć własnego wyobrażenia o świecie. Jak buldożer posuwają się naprzód, pewnie, bez zahamowań. Twardzi są, nieustępliwi. Chociaż ja dostrzegam w nich, oprócz pragnień i siły, przestrasz i niepewność przed światem i tym, że może zaskoczyć, że mogą stracić nad nim kontrolę. Dlatego nie odwracają się na nic pomiędzy tym, co teraz potrzebne i ważne, a tym, co jawi się celem krótko czy dalekosiężnym. Wolą się odgrodzić, jakby wmawiając sobie, że są niepokubionymi panami własnego losu. Może ich zdecydowanie rodzi się z przeświadczenia o zgodności własnych wartości z moralnymi zasadami życia. Cóż złego może się wydarzyć, czy mogą się zgubić, opierając się na drogowskazach? Przecież to nasza dusza konstituuje egzystencję! Ci, którzy mają świadomość, że świat istnieje z nimi i poza nimi, mają prawo czuć się zagubieni ale niekoniecznie, bo mogą właśnie na tym opierać swoje decyzje, każda będzie słuszna, bo większość i tak potoczy się swoim torem. Można iść z wyboru, można pod presją, przodem, tyłem i jakkolwiek, byle iść. Czy wystarczy, jako dowód, spojrzenie za okno na ulicę i na życie, przemieszane tak bogato, przeplatane tak przekornie? Tym

dowodem my jesteśmy i choć naszym jest udziałem życie, nigdy go nie zrozumiemy...

— Co tam piszesz? — odezwał się dobrze znany jej głos.

— Bazgrzę tylko tak do kawy — odparła, powoli wracając do świata rzeczywistych bodźców.

— Na osłodę?

— Aamm, przesłodziłam, no niestety musiałam trochę zrównoważyć bilans. — Zmarszczyła ironicznie brwi.

— Słodko-gorzko?

— I z goryczą! — Zaśmiała się, wstając na powitanie.

— Cześć, nie śmiałem podchodzić by nie przeszkadzać, ale... — Zmieszany, nie wiedział, jak dokończyć.

— Ale co się stało? — Usiadła, wskazując zachęcającym gestem krzesło obok i uśmiechnęła się ciepło.

— Wpadniesz do nas dzisiaj? — Zapytał z oczyma przysłoniętymi jakby mgłą, wyczekując odpowiedzi, która nagle przez fakt oczekiwania urosła do rangi „ważna, znacząca” — spuściła wzrok i z przykrą świadomością stwierdziła, że już na zawsze ich kontakty naznaczone będą innym — trzecim życiem. I, że człowiek, chcąc nie chcąc, powiązany jest z drugim człowiekiem, a relacje nigdy nie są przejrzyste, zawsze kryją w sobie zawirowania, cudem dające się pogodzić, a jednak występujące. Sami... nie istniejemy. Dość, dość — zaalarmował ją wewnętrzny głos. Melancholia, jak wyczytała w którymś z tekstów Tischnera, to rozpacz, która nie zdążyła dojrzeć. I na całe szczęście, że jeszcze nie zatwierdziła się w pełni, ale nie powinna jej w ogóle osiągać w okolicznościach, w których powinna być naczelnym wodem nadziei i pocieszenia. Chyba wolała, żeby melancholia była tylko stanem niedojrzalej radości — wtedy byłaby nadzieja, że, jak już przeminie, poczuje się szczęśliwa. Teraz, w każdym razie, musi wziąć się w garść i siłą odsunąć ją na bok — podniosła spojrzenie na Karola i szybko, z przekonaniem, odparła:

— Oczywiście, że wpadnę! — i ciszej dodała — Jak ona się czuje?

— No, no, właśnie, mam wrażenie, że wszystko ją nuży dzisiaj. — Z trudem wydobyty głos wszedł na nienaturalnie wysokie rejestry, ujęła więc jego dłoń w swoje i ścisłała mocno, nie pozwalając mu się załamać.

Odetchnął i dokończył. — Mam wrażenie, że w jej oczach nie widzę już nawet żalości czy smutku, a... obojętność. — Wyrzucił z siebie słowa, których bał się wypowiadać, jakby nie chcąc, by mogły okazać się prawdą. — Wiem, że bywasz u niej bardzo często, choć sama masz ostatnio... ciężko, ale zawsze pojawia się w jej oku błysk i...

— Wiem, wiem co to za błysk, przyjdę i postaram się przychodzić codziennie. Po prostu... Rzeczywiście ostatnich kilka dni było bardzo trudnych i nie byłam w stanie jej wesprzeć, tak jak powinnam. Przepraszam. — Próbowała powstrzymać łzy. — Będę u niej dzisiaj około 16.00.

— Dzięki, przykro mi, że Ty też cierpisz.

— Nie! Nie powinno. To moja przyjaciółka. Miłość związana jest z każdym aspektem naszego życia, nawet tym niełatwym, na szczęście swoją mocą rekompensuje wszystko i reszta staje się nieważna. Dlatego musimy się jej trzymać.

— Dzięki, serio i... Masz rację. — Wstając, cmoknął ją w czoło i uśmiechnął się, ale był to grymas wymuszony, naznaczony bólem. Ludzie, których dotknęła tragedia, nigdy nie uśmiechają się tak samo, ale zawsze jest to podobny wyraz oczu. Obserwowała uważnie jak odchodzi i z przyjemnością zanotowała, że wyrzucił zmiętą paczkę papierosów, może coś innego będzie go trzymać przy spokojniejszych nerwach... „Jeżeli miłość jest, jeżeli jest prawdziwa”.

Zerknęła na zegarek, dopiła kawę i ruszyła na uczelnię. Po drodze pogrążona w myślach, wpadła na równie zamyślnego Pana. Skoncentruj się — przemknęło jej przez myśl.

Nie zgadzała się na taki obrót spraw. *Julka miała żyć długo i szczęśliwie! Powinna już się szykować, stawać na starcie do poważnego biegu po sukces. Nikt z rodziny nie przypuszczał, ani tym bardziej ona sama, że grunt się nagle zachwieje i powstanie przepaść, w którą łatwo się*

zapaść. Wraz z jej życiem zachwiało się życie innych, bliskich i dalszych. Każdego dotknęło to na swój sposób, był to komunikat, który trwożył i zasmucał. Ale przecież wszyscy przemijamy...

Boję się o Karola, nie umiem nawet przypuszczać jak ogromne jest jego cierpienie, dlatego też przeraża mnie myśl o mnogości zagrożeń, jakie czyhają na jego skolatanie serce i ich ewentualnych skutkach. To palenie, wymuszona nonszalancja... Tak łatwo jest się pogubić, tak łatwo... Boję się.

Po godzinie jazdy autobusem, z Krakowa do jej rodzinnego miasta, była wyczerpana. Julka wróciła do rodziców wkrótce po wykrzyciu u niej złośliwej choroby. Dzwoniąc do drzwi, Diana czuła się przytłoczona odpowiedzialnością, jaka na niej spoczywała. Ogromne pragnienie wsparcia Julii ciążyło na jej wrażliwym sercu. Nie była pewna, czy poradzi sobie i tym razem. Dzwonek wydał się jej zbyt drażliwy, przeraźliwie ostry. Drzwi otworzył ojciec Julii. Gdy była mała, trochę ją przerażał, wysoki, z zaciętym wyrazem twarzy był dla niej przykładem nieugiętego mężczyzny. Teraz spoglądał na nią zmęczony, przygarbiony i bezsilny.

— Witaj Diano, co słychać? — Wprowadził ją do środka. Wzięła głęboki oddech, postanowiła uciec się do słów Agnieszki Osieckiej, której wiersze recytowała w tym domu, z upodobaniem maniaka, trudno było jej samej cokolwiek wyznać. Zasłoniła się parafrazą, odsuwając od siebie coraz silniejsze poczucie zagubienia.

— „Ja... jestem, proszę pana, na zakręcie” — z wolna, niby do siebie, odparła.

— No tak. — Wpatrywał się w nią z uwagą. — Kiedyś wszyscy wyjdziemy na prostą — dodał, bacznie ją obserwując. Nie mogła się ruszyć, *kiedy nadejdą czasy, w których będzie pewna, co powinna zrobić, w których zrozumie ludzi i kiedy nie będą tak szybko łzawić jej oczy?* Pokiwała głową, patrzyli na siebie, widząc ten sam smutek, łapiący się każdej najmniejszej nadziei. — Chodź, Julcia nie może się już doczekać. — Zaprowadził ją pod drzwi pokoju jedynej córki i ścisnął pokrzepiająco jej ramię. — Dziękuję.

Poczekala, aż odejdzie. Starala wziąć się w garść i wiedząc, że nie może tak stać wiecznie, lekko zapukała, wydawało się jej, że nie wywołała żadnego dźwięku, ale nie była w stanie zrobić tego ponownie, uchyliła tylko drzwi nieznacznie i zajrzała do środka. Julia leżała na łóżku w tej samej pozycji, co tydzień temu. Widok przyjaciółki rozdarł jej serce, weszła i zamknęła drzwi.

— Diano — rozległ się cichutki głos. Odwróciła się i spojrzała w zamknięte jeszcze przed chwilą oczy Julki.

— To ja, myślałam, że śpisz.

Przysiadła na skraju łóżka, ale Julka nakazała jej żartobliwym gestem zbliżyć się i rozsiść wygodniej.

— Dlaczego przyszłaś? — Zapytała przekornie, nie miała łatwo i też nie zamierzała nikomu nic ułatwiać.

— Stęskniłam się za Tobą!

— Powinnaś się przyzwyczajać, za niedługo będziesz musiała się z tym pogodzić — odparła z wyrzutem, naburmuszona.

Diana uśmiechnęła się ciepło i chwyciła dłonie przyjaciółki, potrząsając nimi przy każdym słowie.

— Po pierwsze, kochana, nie toleruję takiej zgorzkniałości! Z każdym rozstaniem z Tobą nie umiem się pogodzić. Tak było od czasu, gdy jeszcze musiałyśmy wszystko robić razem i tak będzie zawsze. Zresztą nic takiego już nie nastąpi.

— Nie nastąpi, jeśli będziesz mnie często odwiedzać, — przerwała ze śmiechem — bo czekanie na ciebie podtrzymuje mnie przy życiu, nie żartuję! — zaznaczyła, widząc minę przyjaciółki. — Całe życie na coś czekamy, życie samo w sobie to jedno wielkie czekanie, dobrze jest, kiedy ma się na co czekać! — Przemawiała z żarem w oczach.

Nagle ucichła i opadła bez sił na poduszkę.

— Jedną z rzeczy, na jaką czekam, jest śmierć. Proszę, nie wzdrygaj się, wszyscy ludzicie się, że jest jeszcze jakaś przyszłość, że jest nadzieja, ale ja czuję, że to już koniec... Tylko boję się, — ciężkie łzy zaczęły spływać po jej rozgrzanych policzkach — że jeszcze chwila i nastąpi nicość. Wiem, co chcesz powiedzieć, ale nie wiem już, w co wierzyć, wszystko mi się zdaje takie nierealne... Gdzie trafię, czy w ogóle gdzieś się wybiorę? Co chwila przychodzi tu ksiądz, co tylko mnie dobija, bo czuję się pośpieszana. Rozmawia ze

mną, uspokaja... Ale ja już się gubię, nigdy w życiu nie czułam się tak niepewnie, nigdy nie byłam tak zagubiona. — Napad szloch uniemożliwił jej mowę.

Diana, płacząc, przytuliła przyjaciółkę i tuliła ją, dopóki ta, wyczerpana, nie zasnęła. Delikatnie ułożyła ją na posłaniu i głaskając pozbawioną kasztanowych loków głowę, nie mogła otrząsnąć się z żalu. Na stoliku przy łóżku leżała karteczka: „Nie czekałam, nie cierpiałam, nie przeczułam, w głębi snu, że jeżeli gdzieś jest piekło, to tu”.

Nie potrafiła określić, ile czasu minęło, podobno do pokoju zaglądała mama Julki, zaniepokojona długo trwającą ciszą, ale Diana nie zarejestrowała niczego.

„To sleep, to die” — próbowała wyrzucić nawracającą sentencję.

— „Nie wiedziałam, że tak blisko jest to wszystko, to wszystko, o co chodzi...” — wyszeptwała, gdy blada dziewczyna otwierała śnieżno-niebieskie oczy.

— Jesteś jeszcze? To dobrze. — Przymknęła powieki, biorąc uprzednio rękę Diany pod głowę i wtulając w nią twarz. — Dziękuję, kiedy tu jesteś, myślę o przyszłości, o tym, jaka będzie, a jaka być miała... Gdy jesteś, spełnia mi się marzenie:

„Żeby przez krótką chwilę nie było śmierci. I czas nie rozwijał się, jak nitka z kłębka rzuconego w przepaść.”

— Póki trwa życie, nie ma śmierci, a gdy nadchodzi, nas już nie ma. Na końcu naszej ziemskiej drogi jest światło i szczęście, wiem to na pewno!

— Kogo to? — Podniosła nagle głowę, zaintrygowana.

— Trochę Epikura, trochę mnie samej...

— Ratujesz mnie, wiesz? — wyszeptwała.

— Nie muszę, jesteś tak silną cwaniarą, że nikt i nic nie wejdzie Ci na głowę! — Roześmiały się.

— Tak, pamiętam.

Bardzo długo rozmawiały, o białej kartce także. W końcu Diana stwierdziła, że Julia powinna odpocząć, więc całując przyjaciółkę na pożegnanie, szepnęła. — Widzimy się jutro.

Ale Julia nie przytaknęła, tylko rzuciła niby luźną sugestię — Pamiętaj, jaka ze mnie cwaniara! Będę Cię widzieć każdego dnia, nawet, kiedy Ty mnie nie zauważysz. Będzie Ci różniej i mnie także...

Diana zawróciła targana złym przecuciem, uklękła przy łóżku i, patrząc w roziskrzone oczy Julii, wyszeptwała z największą szczerością. — Najdroższa przyjaciółko, świadoma twoich przymiotów, postaram się ciebie naśladować.

Julia roześmiała się.

— Kocham Cię, wiesz?

— Wiem i Ty też o tym pamiętaj, jesteśmy połączone...

— Wszystkim, co miłość niesie — wtrąciła Julka.

— Na zawsze — dokończyła Diana.

— Śpij dobrze — pożegnała się.

— Uważaj na siebie — odpowiedziała Julia, zamykając oczy.





\*

Pamiętasz, gdy z zapalem, uparte planowałyśmy dalsze dni? Teraz patrząc w przód, nie widzę nic. Serce dziwnie bije, cichnie. Brzmi jeszcze echo, do przyszłości, zamkniętych drzwi.

Nie wiem, w którą stronę iść. Jest tyle historii... niedopowiedzianych, niedokończonych. Tyle planów nieziszczonych, tyle marzeń niespełnionych. Jak iść, by nie tracić przekonania, że istnieje sens?

Jest nam dane jedno życie, pogmatwane i zawile, ale nasze i jedyne. Jakie będzie? — Czas pokaże — w zagubieniu też jest wartość. Choć jesteśmy przymuszeni przez podarek czegoś, co piękne jest i straszne. Życia szczęściem jest błędzenie, nauka, powrót do początku.

Kto choć raz się w życiu zgubił, ten jest pewny egzystencji,  
a kto nigdy nie zabłądził, ten nie poznał życia wcale.

## DANIEL PIOTRAK, *Wspomnienia*

Niezwykłe, że coś, co skrywało się w ludzkiej podświadomości, w jednej chwili, po wielu latach, zostaje przywrócone do pamięci świadomej. Wspomnienie takie, mimo, iż może być wydarzeniem z wieku dziecięcego, powracającym do człowieka starszego, jawi się z zaskakującą klarownością. Właśnie dzisiaj, będąc pierwszy raz od dawna w Krakowie, zostałem wprawiony w osłupienie, gdy, stojąc na peronie piątym krakowskiego Dworca Głównego, zostałem zalany falą wspomnień, które wydawały się być mi dotychczas odległe. Miejsce to, jak każdy dworzec, naznaczone przecież zarówno radosnymi przywitaniem, jak i melancholijnymi pożegnaniami, mnie również się z nimi kojarzyło. Rysowały mi się teraz wszystkie te sytuacje, podczas których stałem tu, zawsze z niecierpliwością w sercu, wyczekując czyjś przyjazdu. Każda z tych sytuacji niosła ze sobą ładunek emocjonalny nie dający się zignorować. Postanowiłem usiąść i poddać się porywającemu nurtowi pamięci, choćby na chwilę. Raz były to ekstatyczne uściski nie widzianych od dawna przyjaciół, kiedy indziej przesyczone kurtuazją odwiedziny krewnych, czasem odjazdy własne, często początkujące jakąś przygodę, a zdarzały się nawet, niosące ze sobą największe brzemię uczuć, dojmujące pocałunki pełne smutku, zwiastujące tęsknotę mającą nadejść lada chwila.

Siedziałem tak, po części przerażony nieudolnością umysłu, tym, że przez tak długi czas zdawałoby się, że zapomniałem zupełnie o wszystkich tych, tak istotnych w końcu, chwilach, a po części zszokowany i uradowany, że jednak zostają one przechowane w czeluściach tego, co nazywamy podświadomością. Wpadłem w nostalgiczny nastrój, a zważywszy na to, że się nie śpieszyłem, postanowiłem się przejść i odwiedzić najważniejsze dla mnie miejsca w tym mieście.

Idąc od dworca, przeszedłem przez plac Jeziorańskiego w stronę Rynku Głównego i ponownie przyszyły do mnie zdarzenia sprzed lat. Tym razem było to jedno z moich pierwszych wspomnień, pochodzące bodaj z wczesnej podstawówki. Chodziłem wtedy na basen w ramach dodatkowych zajęć szkolnych. Odbytywały się raz tygodniowo i zawsze byłem odbierany przez któregoś z rodziców i wracałem z nim do domu. Pewnego dnia, w wyniku nieoczekiwanego zbiegu zdarzeń, ani ojciec, ani matka nie mogli mnie odebrać i byłem zmuszony wrócić sam według podanych mi wskazówek. Widocznie nie byłem wystarczająco kompetentny, by postąpić tak, jak mnie poinstruowano i szybko się zgubiłem. Na domiar złego rozłądował mi się telefon. Jedyna rzecz, której byłem pewien, to, że miałem jechać tramwajem numer 4. Dzięki uprzejmości zapytanych o drogę sympatycznie wyglądających kobiet (do mężczyzn w ogóle bałem się odzywać, z powodów dzisiaj dla mnie obcych) dotarłem do przystanku Dworzec Główny. Pamiętam dokładnie, jak wypatrywałem tramwaju, i jaką ulgę mi przyniósł widok jego wylaniającego się spod wiaduktu nad ulicą Lubicz. Przypomniał mi się jeszcze jeden ciekawy szczegół. Zapytawszy którąkolwiek z pań, które pomogły mi się odnaleźć, czy mógłbym zadzwonić do swoich rodziców, korzystając z ich komórki, gdyż moja się rozłądowała, za każdym razem otrzymywałem podejrzliwe spojrzenie i informację, że jeśli podam numer, one mogą zadzwonić. Wtedy wzbudzało to we mnie zdziwienie i brak zrozumienia, a dziś mnie to bawi.

Przeszedłem przejściem podziemnym i wyszedłem na Planty. Zmierzałem ku ulicy Floriańskiej. Ten odcinek zieleni otaczającej Stare Miasto wygląda dokładnie tak, jak kiedyś. Każdego dnia, właśnie w tym miejscu, pojawiają się tłumy ankieterów i aktywistów poszukujących podpisów i ulotkarzy niecierpliwie wyczekujących końca swojej zmiany. Zauważyłem również jedno z, tak charakterystycznych dla Krakowa, stoisk z obwarzankami. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Dalej, przy wylocie ulicy Floriańskiej, dostrzegłem monument świata zachodniego, McDonald's. To kuriozalne miejsce przypominało mi o równie kuriozalnym wydarzeniu. Niedługo, po nieprzespanej nocy, motywowani głównie głodem, wyruszyliśmy z dwójką bliskich przyjaciół na Rynek koło godziny czwartej nad ranem. Mimo tego, iż był to lipiec, chłód był dotkliwy. Delikatna mgła, opustoszałe ulice i mróz komponowały atmosferę co najmniej osobliwą. Wyruszyliśmy z intencją posilenia się w KFC, gdyż myśleliśmy, że było otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdy się okazało, że otwierało się jednak

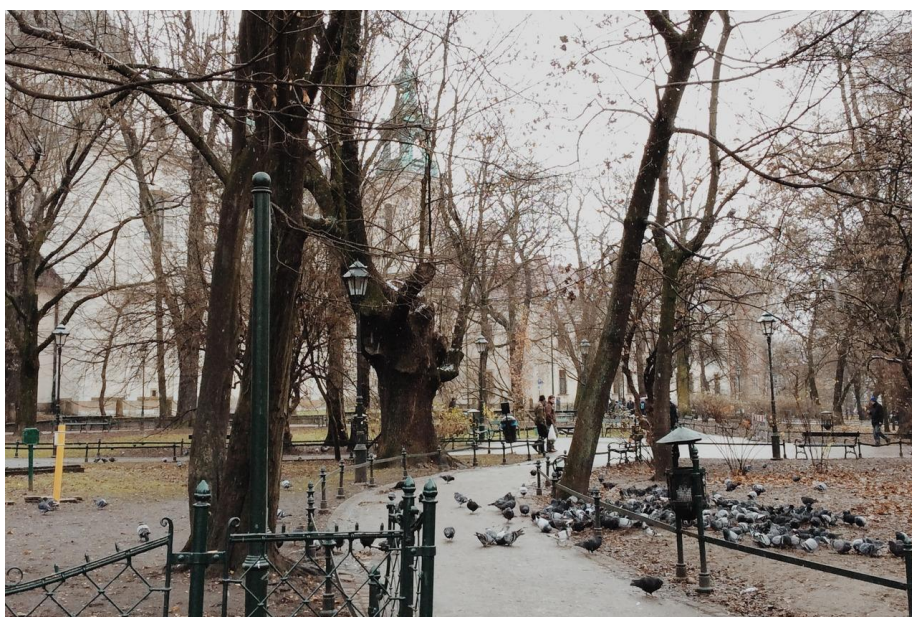
dopiero o dziewiątej, zdeprymowani, postanowiliśmy pójść do „makdonalda”. Ten też nas rozczarował, otwierał się o godzinie siódmej. Zdesperowani, nie wiedzieliśmy co zrobić, lecz nie było mowy o powrocie do domu, byliśmy zdeterminowani otrzymać to, po co przyszliśmy. Zatem błędziliśmy przez parę godzin, otoczeni mgłą i samotni w miejscu zwykle tak ruchliwym. Dziesięć minut przed wyczekiwaną porą, nie mieliśmy już siły się poruszać i koczowaliśmy przed wejściem do naszej, wówczas, ziemi obiecanej. Warto zaznaczyć, iż nie byliśmy tam sami. Po, wydawałoby się, latach tułaczki po bezludnym mieście, nastąpił pierwszy nasz, tego dnia, kontakt z innymi ludźmi. Były to dwie nastolatki, wyglądały na nasze rówieśniczki. Zachowanie ich pozwoliło nam sugerować, że znajdowały się pod wpływem bliżej nieokreślonych specyfików. Tak jak i my, z tego powodu czy innego, nie spały tej nocy i chciały zaspokoić potrzeby pustych żołądków. Gdy w końcu wrota do tego, co przez tak ciężkie wyczekiwanie urosło w naszych oczach do Itaki naszej trzygodzinnej odysei, otworzyły się, wkroczyliśmy, czując się wyjątkowo. Byliśmy pierwszymi osobami w McDonald’sie tego dnia (nietrzeźwe dziewczyny puściły nas przodem). Wówczas wydawało mi się, że wydarzenia tego dnia odznaczają się szczególnym piętnem w mojej pamięci. Okazało się, że przez długie lata o nim zupełnie zapomniałem. Swoją drogą, śniadanie, które w końcu tam zjedliśmy, było zgoła niesmaczne, lecz żadne z nas nie ośmieliło się tego powiedzieć. Wysilek, jaki włożyliśmy w to, by je zdobyć, nie mógł przecież pójść na marne. Stojąc przed tym fast-foodem dzisiaj, sprawdziłem z ciekawości, od której jest otwarty. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Niektóre rzeczy się zmieniają.

Przechodząc Floriańską, zaskoczony byłem skalą zmian. Na darmo szukałem niektórych lokali, uwielbianych przeze mnie w młodości, i nie mogłem się nadziwić ilości nowych, o których nigdy nie słyszałem. Idąc, zamyśliłem się i wpadłem na młodą dziewczynę. Przeprosiłem ją i przyspieszyłem kroku, zawstydzony. Wychodząc na Rynek, na wprost siebie miałem kościół Mariacki, tak charakterystyczny, jak imponujący. Popatrzyłem na zegarek, i zobaczywszy, że jest trzynasta pięćdziesiąt pięć, uśmiechnąłem się i postanowiłem poczekać te pięć minut. Po chwili dostrzegłem trąbkę wysuwającą się z jednej z okiennic. Doszedł do mych uszu upragniony, niesłyszany od dawna dźwięk hejnału. Wtem pojawił się w mojej głowie obraz miejsca, które wiedziałem, że chcę odwiedzić. Skręciłem w prawo i szybkim krokiem podążałem w kierunku ulicy Szczepańskiej. Mijając Sukiennice, spojrzałem do środka, zobaczyłem dokładnie to, co spodziewałem się zobaczyć. Stoiska z obłędną ilością tandetnych pamiątek, miejsce konieczne dla każdego turystycznego miasta. Chwilę później dotarłem do celu.

Patrzyłem się na fontannę na placu Szczepańskim i nie potrafiłem powstrzymać śmiechu. To w tym miejscu, razem z czwórką kolegów, zostaliśmy uwiecznieni na zdjęciu, które trafiło na pierwszą stronę lokalnej gazety. Było zatytułowane „Wakacyjne szaleństwo”. Był to ciekawy zbieg okoliczności. Znajdowaliśmy się w niezwykle euforycznym stanie wywołanym ukończeniem gimnazjum i początkiem wakacji, na dodatek przeszkadzał nam letni skwar, toteż postanowiliśmy ochłodzić się kąpielą w tejże fontannie. Woda w niej była zimna, wchodziliśmy powoli i nieśmiało. Gdy już się przyzwyczailiśmy, bawiliśmy się w najlepsze, wpychając się pod wystrzeliwane strumienie i chlapiąc się nawzajem. W pewnym momencie jakiś nieznamy nam mężczyzna do nas podszedł i zapytał się, czy może zrobić nam zdjęcie. Okazało się, że był fotografem wcześniej wspomnianego czasopisma, zgodziliśmy się i, następnego dnia, ku naszemu wielkiemu zdziwieniu, nasze zdjęcie znalazło się na pierwszych stronach. Dopiero po wyjściu z fontanny przeczytaliśmy tabliczkę grożącą karą o wysokości dwóch tysięcy złotych za kąpiel.



Minąłem plac Szczepański, by wyjść znów na Planty i siedłem wzdłuż nich w kierunku Wisły. Zostawiając za sobą wylot Szewskiej, ujrzałem po swojej prawej alejki wchodzące w głąb drzew, ustawione w jednym miejscu w okrąg. Siedząc tutaj, byłem, lata temu, świadkiem sytuacji tyle powszechnej co ujmującej. Pamiętam, że było lato, więc było ciepło, a ja chciałem poczytać gdzieś poza domem. W pewnym momencie zwróciłem uwagę na dwie osoby zajmujące miejsce na ławce będącej niedaleko mojej. Był to najprawdopodobniej ojciec z córką. On opowiadał jej jakieś ewidentnie zmyślane, fantastyczne historie, a ona słuchała z szerokimi oczami i otwartą buzią, zafascynowana tym, co słyszała. Nieintencjonalnie dochodziły mych uszu strzępki tego, co mówili, a po chwili już nie mogłem się powstrzymać i z pełnym zaangażowaniem wsłuchiwałem się w opowiadania, gdyż, muszę przyznać, że mężczyzna ten niezwykle angażująco wprowadzał słuchacza w swe opowieści. Zdaję sobie sprawę teraz, i zdawałem wtedy, że nie było w tym niczego niezwykłego, lecz scena ta była mi sielankową i utrwaliła się w mej pamięci.





Zmierzałem ku rzece, i gdy w końcu się przy niej znalazłem, usiadłem na trawie na wiślanym bulwarze. Wróciły do mnie wszystkie sytuacje, w których się tu znajdowałem. Często przychodziłem tu, gdy potrzebowałem odpocząć i ochłonąć w samotności. Było dla mnie bezpieczną ostoją i pomimo upływu czasu jest kojące. To tutaj również przeżyłem pierwsze wyznanie miłosne. Nie mając wcześniej styczności z takimi uczuciami, nie rozumiałem ich i nie wiedziałem do końca, jak postępować. Znajdowałem się, jak każdy zakochany, w stanie otępienia i mogłem myśleć tylko o jednym. Nie było to wtedy dla mnie łatwe, ale wiedziałem, że koniecznie muszę powiedzieć jej, co czuję, niezależnie od skutków, bo gdybym tego nie zrobił, doszłoby do jakiegoś bliżej mi nieokreślonej katastrofy. Z perspektywy czasu wydarzenie to nie jest szczególnie znamienne dla mojego życia, lecz wtedy wydawało się niezwykle ważne.

Podążając dalej górą bulwaru, zbliżyłem się do Wzgórza Wawelskiego. Najznamienitsza budowla tego miasta wprowadziła mnie dziś w podziw, jakbym widział ją pierwszy raz. Wydało mi się przykre, że mieszkając tu, byłem tak przyzwyczajony do zamku, że spoglądałem na niego, dotychczas, obojętnie. Może w moim przypadku stałość jest negatywna, gdyż nie potrafię docenić tego, do czego jestem przyzwyczajony? Chwilę potem stwierdziłem, że wysuwam zbyt pochopne wnioski. Tak, zamysłony, dotarłem do miejsca, które wywołało jedno z moich pierwszych wspomnień. Nie sposób, by płomień wydobywające się z paszczy tego metalowego kolosa nie wywarły wrażenia na małym dziecku. Smok Wawelski, obiekt legend, symbol miasta i atrakcja turystyczna był, chociaż do dziś nie miałem tego świadomości, głęboko zakorzeniony w moim umyśle. Stanowił punkt zaczepny dla moich pierwszych, określonych, lecz rozlazłych i dlatego potrzebujących owego punktu, myśli. Niezwykłym jest, jak nasz umysł według własnego uznania sortuje nasze wspomnienia. Następnie przechowuje niektóre w ukryciu, by nagle nas nimi zaatakować pod wpływem bodźca. Bodźcem takim może być fontanna, przystanek autobusowy czy Smok Wawelski. Niezwykle jest, z jakimi szczegółami wspomnienia te zostają przechowywane przez dziesiątki lat.

Postanowiłem poczekać, ażeby być świadkiem, pierwszy raz od długiego czasu, zionięcia ogniem przez smoka. Gdy wydawało mi się, że czekam już podejrzanie długo, usłyszałem rozmowę przechodzących koło mnie ludzi, o tym, że od kilku lat, żeby smok buchnął ogniem, trzeba wysłać esemesa.

## ADAM CZARNECKI, *Zbite szkło*

Wino, miętowa koszula z podwiniętymi ponad łokcie rękawami, wystawna restauracja, sukienka wieczorowa i szminka. W krakowskich realiach takie połączenie może przynieść tylko pytania. Zwykle bez odpowiedzi. Szczególnie z perspektywy osoby trzeciej, ale Rynek w myślach tego dojrzałego z grubsza człowieka spowodował przerażającą anomalie. Paradoksalnie, pytań nie było, myśli również. W jego 34-letniej życiowo-survivalowej historii nigdy takowej nienormalności nie spotkał. Zawsze były jakieś skojarzenia, odczucia, spostrzeżenia, ale w tej chwili nie było niczego. Jakby siedząc pod Ratuszem na kamiennej ławce, zapadł w śpiączkę.

Szminka. Dobrze odczytał jej złowieszcze proroctwo. Nie cierpiała szminek. Z pomalowanymi ustami widział ją tylko raz, gdy po całkiem udanej publikacji zostali zaproszeni na sztywny bankiet. W obawie przed jej aparycją, tego wieczoru postanowiła przyozdobić się tą tłustą czerwoną farbą. Bankiet, a propos, wypadł całkiem dobrze. Wśród mnóstwa przedstawionych mu nieznanym była Olga Tokarczuk, którą znał i szanował. Zdecydowanie bardziej jednak cenił jej książki. Zaczytywał się nimi w zimne, niedzielne popołudnia, kiedy, pomimo złej pogody, Karolina prosiła, aby w końcu gdzieś wyszli. Często miewała dość czterech ścian ich mieszkania. Mimo to byli prawdziwą drużyną. Ona tak energiczna i entuzjastyczna, on raczej zdystansowany i spokojny. Kiedy razem pracowali, byli niepowstrzymani.

Dlatego właśnie zdziwił się, znajdując szminkę w jej torebce tego poranka. Wiedział, że wyjeżdża w weekend na delegację, ale nigdy nie uważała takich wyjazdów za tak ważne, by używać zniechęcającego narzędzia kosmetycznego. Może jednak ten był wystarczająco istotny. Może tak po prostu wyglądają wyjazdy w dużej, zachodniej korporacji. To ciekawe, że z jakiegoś powodu, przełożony zawsze nakazywał jej jechać. Dawniej miał

zastrzeżenia co do jego sympatii kierowanej do ukochanej. Wiele razy również pytał jak to jest, że z całej „Corpo świty” to zawsze ona ma na głowie ważne rozmowy i spotkania w innych dobrze prosperujących miastach współczesnej Europy.

Tak więc dziś postanowił za nią podążać, gdy wychodziła na samolot. Dziwne wydawało się, że leci tylko na dwa dni. Jeszcze ta szminka w torebce. Chciał się również oderwać od zajmujących go ostatnimi tygodniami zadań, związanych z publikacją nowej powieści. Tak więc 34-letni, brodaty mężczyzna, o gabarytach i wyrazie twarzy co najmniej wybudzonego ze snu zimowego niedźwiedzia, śledził swoją narzeczoną. A po spokojnej pogoni przez cały Kraków spoczął tutaj, na kamiennej ławce, obok ratuszowej wieży.

Był prawie pewien, że to jedyna delegacja, która skończyła się z nieznanym mu mężczyzną w drogiej restauracji. Jednak w całym tym widoku coś mu się nie zgadzało. Dopiero, gdy ich ręce się zetknęły, zebrały się w nim złość i zawód. Przez chwilę przeszło mu przez myśl wejście do środka. Ale wyjął tylko telefon i uwiecznił ten widok na zdjęciu. Można by pomyśleć, że tylko dla usprawiedliwienia nadchodzącej zemsty. Jednak powód jego działania był zupełnie inny. Świadomy był swojej natury i tego, że po intensywnych wewnętrznych bataliach będzie próbował wmówić sobie, że to nie stało się naprawdę, że tylko sobie to wymyślił, że wśród tysięcy jego postaci stworzonych dla swoich opowieści, stworzył też ją — śliczną panią, złudnie przypominającą jego narzeczoną, razem ze złoczynią w miętowej koszuli. Następnie puścił to między myślami i znów, tak jak całe życie, nie znajdując rozwiązania problemu, zostawił go na boku, by rozwiązał się sam. Zwykle to ona wiedziała, jak należy reagować i jakie trzeba podjąć kroki. Wydawać by się mogło, że, jako jeden organizm, idealnie roztrząsali każde, nawet najcięższe problemy. Co jednak ma zrobić, kiedy ta decyzyjna połowa jego ciała i rozumu siedzi nikczemnie przy stoliku z nieznanym mu mężczyzną?

Nagle poczuł niespodziewany przyływ adrenaliny. Tak jakby wielki czarny pies czał się za nim, a jego oddech delikatnie schładzał mu skórę na karku. Prędko wstał i skierował się w stronę ulicy Szewskiej. Sam do końca nie wiedział, czego tak bardzo się przestraszył. Zdawał sobie sprawę, że wygląda na wariata i dziwaka. Przypominały mu o tym spojrzenia przechodniów, kiedy zauważali, jak poci się, ciężko oddycha, widzieli terror w jego oczach. Uciekając od spoglądających na niego ludzi, wszedł do pierwszego lepszego sklepu. Machinalnie kupił papierosy, których zresztą nie miał w ręku od prawie piętnastu lat. Nie widział sensu w paleniu, odkąd skończył liceum, pomimo że wspomnienia, kiedy siedząc na skwerze Generała Sikorskiego razem z kolegami przy tłących się papierosach, rozmawiali o literaturze, były raczej pozytywne.

*Dlaczego i czego tak się boję?*, pomyślał, zdając sobie sprawę, co zrobił. Muszę stąd wyjść. Nie obchodzi mnie, gdzie idę.

Krakowski krajobraz przez okna tramwaju wyglądał jeszcze bardziej przytłaczająco niż zwykle. Popękane kamienne chodniki przypominały jedną z tych pustyń, na której, z braku wody, podłoże wygląda jak sucha maseczka kosmetyczna. I to o tyle paradoksalne, że w tym mieście ciągle pada. Taki mamy klimat. Przez to, że każdy żyje pod swoją chmurką, a widok tłumu przechodniów ma w sobie coś z wiosennej ulewy. Takiej, po której wiesz, że może być tylko lepiej.



Sobotniego popołudnia w komunikacji miejskiej można wyróżnić trzy zasadnicze grupy. Pierwsza to ci, którzy jadą, bo mają jakiś cel, imprezowicze, którzy w grupie przyjaciół zmierzają na domówkę lub piją w popularnych miejscach spotkań, tak jak przed chwilą zauważeni nastoletni panowie widziani na chodniku na placu Szczepańskim, w towarzystwie 0,7 litra wódki. Są podnieceni wizją niechybnie nadchodzącej biesiady, co znacząco odbija się w huku ich rozmów. Często do tej grupy nasz bohater zaliczał również chłopców i panie podążających na siłownię. Na ich twarzach zawsze widać determinację i chęć walki. W ich słuchawkach gra muzyka — motywująca i energiczna. Zawsze się zastanawiał, skąd to zdecydowanie się w nich bierze. Istotnie, w środowisku szanujących się chłopaków i dziewczyn, nietaktem jest nie siedzieć pół sobotniego przedpołudnia na cuchnącej potem siłowni.

Wyprawił się więc kiedyś do klubu fitness, przedtem, przedzierając się przez lekturę o kalistenice, ludzkiej anatomii i teorii ćwiczenia z ciężarami. Powiedziała mu wtedy, że wygląda naprawdę przesłodka w kolorowych spodenkach, które kupiła mu w zeszłym tygodniu, luźnej koszulce i opasce trzymającej w ryzach jego długie włosy. Faktycznie wyglądał bardziej na hipisowskiego bojówkarza niż osiedlowego kulturystę, jednak pomimo tego i świadomości, że będzie najbardziej niezręcznym klientem owej siłowni, poszedł przekonać się, jak jest w środku.

Wyszedł z niej z jednym wnioskiem. Ludzie nie płacą ani za sprzęt, ani za miejsce do ćwiczeń, płacą za motywację. Widok mężczyzn, którzy, poświęcają większość swojego wolnego czasu na dochodzenie do perfekcji sprawności, siły i woli, wypełnia nas zazdrością. To właśnie ona jest motorem napędowym naszych dalszych ćwiczeń. Dlatego też w większości siłowni jest tyle luster. One zmuszają cię, abyś nieustannie porównywał się z innymi. Istotnie okrutna to abominacja świata, gdy jedyne, co nam wiąże ręce, to brak motywacji.

Do drugiej grupy należą ludzie, którzy muszą coś załatwić. Powroty z pracy, odwiedziny bliskich w szpitalu, urodziny dziadka, czasem zakupy. Mimo to wszyscy, dzieląc ze sobą te kilka minut dnia, traktujemy siebie jak powietrze, nieczuli na problemy, dylematy i historie innych ludzi. Zdawał sobie sprawę, że praca osiem godzin dziennie, przez pięć dni w tygodniu, próbując związać jakoś koniec z końcem, to popularna zмога życia większości Polaków, pomimo, że sam nigdy tego nie doświadczył. Chcą przeżyć.

Trzecia grupa to ci najciężsi do rozszyfrowania, którzy nawet nie jadą w jakimś konkretnym celu. Zwykle są to osoby starsze, które, patrząc na szybko znikające za sobą widoki, wspominają, zabijając czas. Zawsze chciał się utożsamiać z pierwszą grupą. Mieć jakąś motywację, chcieć czegoś ważnego i ekscytującego do zrobienia. Odnajdywać się w tej iluzji wolności. Jednak za każdym razem, buszując w myślach, swoim zachowaniem i wyglądem przypominał raczej emeryta. Kiedyś rozmawiał ze swoim ojcem na temat

przemijania i starości. Wtedy usłyszał, że „są ludzie, którzy rodzą się za szybko, za szybko dorastają, starzeją się i umierają”. Wiele już razy podjął próbę rozstrzygnięcia prawdziwości tych słów. Nigdy mu się nie udało, ale, pomimo upływu czasu, ciągle je pamiętał.

Pomyślał więc o tym i teraz, wychodząc wolnym krokiem z tramwaju. Jego kontemplacje przerwały jasne promienie zachodzącego, jesiennego słońca, które, przedostając się pomiędzy rozłożystymi liśćmi starego kasztana, postanowiły uprzykrzyć mu i tak już jeden z najgorszych dni życia.

No właśnie, gdzie pójść kiedy nawet przyroda jest złośliwa — pomyślał, znając doskonale odpowiedź. Zwykle, kiedy jego dzień nie należał do najlepszych, chował się w swoich myślach. Zastanawiał wtedy nad książką, którą teraz czyta, nowym pomysłem na powieść, układał wiersze, opisywał rzeczywistość najbardziej poetycko, jak się tylko dało. Zawsze bardzo absorbowano go znajdowanie nowych, hipotetycznych rozwiązań na ludzkie problemy. Projektował idealne miasta, idealny system edukacyjny, perfekcyjne ułożenie kuchni lub najwygodniejsze umiejscowienie przycisków na klawiaturze. Realia w porównaniu do wizji zawsze wyglądały nudno, szaro i przytłaczająco.

Schodząc w dół ulicy, którą tak dobrze znał z dzieciństwa, nawet nie próbował walczyć z czarnymi myślami, które jego mózg sączył zamiast glukozy, tworząc jedną wielką parodię ułożonej i przejrzystej świadomości. Przychodząc tu, pomyślał, że znajome ulice i zaułki będą dla niego kojące. Nie poczuł jednak nic.

Dlaczego dorastając w cichej i spokojnej okolicy, mając najlepszą edukację i wszystko pod dostatkiem — pomyślał, choć całe popołudnie nie chciał zadawać tego pytania — wyrosłem na nieudacznika, bez domu, dzieci, super samochodu, dobrej pracy. Nawet moja dziewczyna woli ludzi, którym się powodzi. Dlaczego sukces tak bardzo wszystkich interesuje? Bardziej niż pocziwe życie, nawet bardziej niż to, kim jesteś. Przecież znam ją tak dobrze, tak się świetnie zawsze dogadujemy. Nigdy nie mieliśmy wielkich kłótni ani nieporozumień. Naprawdę myślałem, że jest idealnie. Co więc jest nie tak? Po prostu się znudziła. Może chciała zobaczyć, jak to jest przebywać z kimś, kto właściwie jest w stanie coś załatwić, należycie się nią zaopiekować. Pewnie on jeździ super samochodem, jest atrakcyjny, nie woli po romantycznej, domowej kolacji czytać książki, tylko uprawiać seks, na pewno potrafi ugotować coś lepszego niż przypalone spaghetti z torebki albo przynajmniej potrafi wziąć do wystawnej restauracji. Tak. Rozumiem. Mogła mieć mnie dość, jednak zawsze miałem wrażenie, że odnajdywała się w tym związku. Zna mnie na tyle, że wie, że jakby odeszła, mój świat by się zawalił. Może poszukuje swojego szczęścia oddzielnie. Może to raczej okaz miłości? O, no tak, to tutaj. Pomalowali bramkę?

Nie omieszkał wyładować swojego rozgoryczenia, aż dwa razy naciskając przycisk domofonu. Co więcej upewnił się, że wciskał go tak, że ani centymetr gumowego przycisku nie wystawał ponad obudowę. Był zły. Z pierwszym rzutem oka zrozumiała to też jego matka, wychodząc, by otworzyć mu bramkę.

— Czemu nie mówileś, że przyjdiesz? — zapytała mama, podając mu duży kubek czarnej, świeżo zaparzonej herbaty. — I czemu nie wzięłeś ze sobą Karoliny? Tak dawno u nas nie byliście...

— Zrobiła sobie babski wieczór z koleżankami, więc pomyślałem, że przyjdę — skłamał. — Zupełnie zapomniałem zadzwonić...

— Nie powiem, że to nie w twoim stylu — rzekł ojciec, unosząc oczy znad gazety, która, pomimo wizyty syna, wydawała się bardziej interesująca. — Jak ci idzie praca nad nową publikacją?

— Nie najlepiej, nie mam ostatnio natchnienia, a zostały mi tylko dwa tygodnie.

— Mówiłem, cholera, żebyś został inżynierem, taki byłeś zdolny — wykrztusił ojciec, nie kryjąc urazy.

Minęło 14 lat, a za każdym razem mi to wypomina. Tak, w liceum rodzice robili wszystko, abym został inżynierem. *Tak jak ojciec, pomyślał. Kiedy na świadectwie zdania matury zobaczyli, że oprócz matematyki i fizyki, w tajemnicy przed nimi, zdawałem rozszerzony język polski, nie dowierzali prawie tak bardzo, jak wtedy, kiedy obwieściłem im, że zamiast na automatykę, wybieram się na polonistykę. Dopóki nie przyniosłem indeksu z pierwszego semestru, myśleli, że żartuję. To był największy zawód ich życia, a właściwie jedyny raz, kiedy postawiłem na swoim. Tata chciał tylko, żebym był kimś, żebym odniósł sukces, przejął po nim firmę. Żeby upewnić się, że dobrze zdam maturę, zakazano mi cho-*

*dzieć do szkoły muzycznej. Musiałem skończyć z wiolonczelą. Nie rozumiał, że nie obchodzi mnie ani szybkie samochody, ani broń palna czy milionowe kontrakty. Chcę tylko normalnie, szczęśliwie żyć. Czy właśnie to czyni mnie życiowym nieudacznikiem? Dla mnie zawsze huk był za głośny, wycie silnika zbyt donośne, auta za szybkie, pieniądze zbyt blabe. Mimo wielu prób wprowadzenia mnie w „świat prawdziwych mężczyzn”, nigdy mu się nie udało. Zawsze woląłem wrócić do domu, czytać książkę, grać w gry. Zamiast posłuchać ojca, podążałem za swoim wyobrażeniem szczęścia.*



Przypomnił już sobie, dlaczego wyprowadził się od rodziców. Przecież w ich domu wystarczyłoby miejsca dla trzech takich par, jak on i Karolina. Mimo tego i faktu, że jako dziecko było to jego małe królestwo, do którego przywiązał się emocjonalnie tak bardzo, że, będąc małym chłopcem, nie cierpiał każdego momentu poza domem, postanowili mieszkać osobno. To przez presję, jaką rodzice wywierali w każdej dziedzinie jego życia. Pytania: kiedy ślub, dzieci, własny dom, nowe auto, nowa książka, kiedy dorośnie były po prostu szalenie uciążliwe. Bardzo go to stresowało i chciał się jak najbardziej zdystansować. Mówi się, że takie uczucie znika, gdy przestaje się być nastolatkiem. W jego przypadku zostało, co gorsza nigdzie się w najbliższym czasie nie wybierało.

Zapadła bardzo gęsta i nieznośna cisza. Jego ojciec zdawał się nie zwracać na niego uwagi, mama była zajęta przygotowaniem kolacji.

— Mogę zostać na noc? — zapytał w końcu.

Nocą, leżąc w łóżku w „jaskini ZaklinaczaŚwiatł3000”, jego pokoju z dzieciństwa, przez głowę przemykało mu wiele różnych myśli. Był zbyt wykończony, by myśleć o czymś konkretnym. Cały dzień przeleciał mu jakoś między palcami, jak tysiące innych. Przez jego świadomość po prostu przepływały strumienie obrazów i dźwięków. Był wystarczająco zmęczony, by nie móc podnieść powiek, lecz sen jeszcze nie przyszedł. Trwał w tym marazmie, w otoczeniu wspomnień swojego dzieciństwa. Wszystkie kolekcje komiksów, figurek, płyt, książek miały dać mu stabilny początek dorosłego życia, tymczasem wy-



kreowały go na chwiejnego i rozedrganego człowieka. Chciały mu dziś wiele powiedzieć. Jakby każdy przedmiot nucił swoją cichą kołysankę. Słuchając ich żalosalnej kołysanki, zasnął. Teraz to on wyprzedzał smutki, szybując i kręcąc wokół beczki, bawił się nimi. Tutaj nie liczył się sukces, tylko wyobraźnia i kolory. Teraz on ustalał zasady. Czarne psy nie latają tak szybko jak migdałowe odrzutowce. W końcu nie był 34-letnim staruszkiem, a 7-letnim bogiem. A tak jak sen, czas przyniesie też odpowiedzi.

Opuszczając dom, nawet nie dokończył śniadania. Połowę kanapki i kubek czarnej kawy zostawił muszkom owocówkom, oraz ojcu, który, jak zwykle, czekał na niego od samego rana.

Wychodząc, nawet nie domknął dobrze bramki. Pędził razem z wiatrem poprzez wypełnioną sobotnim porankiem ulicę. Teraz z nową towarzyszką. Wiolonczelą. Byli drużyną. Nie zatrzymywały ich ani chodnikowe nierówności, ani spóźnione tramwaje. Początek dnia był świeży i przejrzysty. Na krakowskich ulicach unosiła się woń jajeczniczy, polityki i dobrej muzyki. Jesień dziś była bardziej czerwona, niżli brązowa, a wiewiórki wołały raczej te twardsze orzechy.

Stanęli. Akurat dziś, tego poranka, musieli spotkać jego. Piotrek. Znajomy licealny, w którego cieniu główny bohater spędził kilka dobrych lat. No cóż, trzeba rozmawiać.

— Heeej — rzucił, na początek sklejąc sówicę młodociane przywitanie. — Kopeć lat.

— Dzień dobry. Co tu robisz?

— Wracam z imprezy. Razem ze znajomymi świętowaliśmy mój ostatni awans.

— No nieźle. To jaką teraz pełnisz funkcję?

— Dyrektor główny sprzedaży.

— Gratuluję! Gdy się ostatnio widzieliśmy, byłeś świeżo upieczonym kierownikiem. Jak się macie z Mają?

— Z Mają? To ty nie wiesz? Rozwidliśmy się pół roku temu. Zdradzała mnie, szmata.

— Och, naprawdę? To musiał być cios... Jak sobie z tym poradziłeś? — odrzekł, niemal zszokowany tym, co usłyszał.

— Zgotowałem jej takie piekło, że ledwo żyje. Po trzech miesiącach w sądzie, została bez mieszkania, pieniędzy, samochodu. Chyba przypomniała już sobie, jakie życie jest bez mnie ciężkie.

— Ojej... Przepraszam cię strasznie, ale muszę już zmykać. Jestem umówiony na serwis wiolonczeli. Zgadamy się jakoś. Papa! — powiedział zdecydowanie, zbyt szybko, odchodząc. Już nie był w humorze. Bał się podobnego pytania. A więc tak to robią prawdziwi mężczyźni, pomyślał przez chwilę. Nie dbał o to, jak niezręcznie przebiegła ta rozmowa. Po prostu siedł. Dopiero po przejściu na wskroś centrum Krakowa przystanął. Wydobył telefon, skasował wczoraj zrobione zdjęcia. Przegrał. Pozostała mu tylko nadzieja, że to pierwszy i ostatni raz. Nie chciał wiedzieć. Już nigdy za nią nie pójdzie. Nie będzie zadawał pytań. Rozstawił wiolonczelę na chodniku jednej z krakowskich uliczek. Zamknął oczy. Nie myślał. Po prostu grał. Sunął smyczkiem po strunach w mieście niechcianych drapaczy chmur. Kiedyś wschodnie, teraz zachodni dobrodzieje budują swoje Pałace kultury. Kiedyś sięgano tu nieba poezją, teraz widzi się je z okna w biurze. Pomimo małżeństwa z Wisłą, to miasto zawsze jest samo. Pomimo tłumy kiboli, zawsze jest puste. Pomimo wielkości, zawsze za małe. Bo to miejsce jest inne, niż się wydaje, w oczach ma jadeity, a w sercu zbite szkło.

## MARTA WIĄŻEWSKA, *Subiektywnie świeci, a obiektywnie?*

Była II w nocy, kiedy samotny, wysoki mężczyzna w cienkiej, ortalionowej kurtce wyszedł z kina. Z jego ust wydobył się obłoczek drobniutkiej pary. Spojrzał w prawo, zobaczył grającego, młodego wiolonczelistę, a obok niego rozpaczliwie szlochającą, elegancką, szczupłą kobietę. Przez krótki moment zawahał się, po czym obrócił się w lewo i zdecydowanym, energicznym krokiem ruszył w stronę plant. Był wtorek, dzień niezbyt popularny pod względem odwiedzania kin, jak zdążył sam się przekonać. Mając wciąż w pamięci swój zupełnie samotny seans, zastanawiał się nad najprostsza kwestią jego dotyczącą

— czy film mu się podobał, czy też nie. Był przecież niesamowicie awangardowy, wątki urywały się w najmniej oczekiwanych momentach, jak to zwykli to robić w filmach wszyscy znaczący, nowoczesni reżyserowie. A do tego ta dynamiczna, przepelniona licznymi niespodziewanymi zwrotami akcja! Nie miał wrażenia, że sceny są przesadnie wydłużone, jak to nie raz czuł oglądając nawet nie taki najbardziej podły polski serial. Czuł, że miał kontakt z pewnego rodzaju dziełem sztuki. Jednak... czy nie nazbyt wiele zostało przemilczane? Czy nie miał przypadkiem do czynienia z awangardą dla samej awangardy, a nie dla wywarcia konkretnego wpływu na widza? Może to było jednak na siłę? Czuł, że znowu zapędza się w jakże dobrze znaną mu pułapkę. W tym miejscu uciął te, w jego mniemaniu, prowadzące do nikąd rozważania. Znowu nie był w stanie sformułować jednoznacznego zdania na temat bardziej skomplikowany niż to, czy zjeść chleb biały, czy też ciemny. Po raz kolejny poczuł, jak bardzo doskwiera mu brak rozmówcy.



Podróż tramwajem minęła w całkowitej ciszy, oczywiście nie miał nic przeciwko temu. Ostatnie, czego mu było trzeba, to bełkotliwe zaczepki przysypiających pijanych ludzi (zawsze przypominały mu o tym, jak łatwo człowiek traci własną osobowość i godność, myśl ta nie nastrojała go zbyt optymistycznie). Zazwyczaj wysiadał przystanek wcześniej (miał w pamięci napomnienia rodziców — „Jeśli nie uprawiasz sportu, to chociaż spaceruj, to nie będziesz przykuty do wózka na starość!”). Jednak dzisiaj wyjątkowo nie miał na to ochoty. Spacer do mieszkania zajął mu krótką chwilę, podczas której skupiał się głównie na niezwracaniu uwagi na leżące na lub pod ławkami osoby. Kiedy znalazł się w mieszkaniu, poczuł, że nie ma ochoty na nic poza położeniem się na łóżku i pójściem spać. Miał właśnie to zrobić, kiedy jego wzrok mimowolnie powędrował w stronę okna zasłoniętego żaluzją. Za każdym razem powtarzał sobie, że to ostatni raz, gdyż zawsze potem czuł się nieswojo i nachodziły go niechciane myśli. Jednak i tym razem odsunął żaluzję i w bloku naprzeciwko wśród kilkunastu zapalonych w oknach świateł i kilkudziesięciu ciemnych prostokątnych otworów okiennych ukazał się mu kolorowy napis JESTEM, ułożony z lampek choinkowych. Zapalał się zawsze po zmierzchu, a jego treść była niezmiennie tak sama. Fala tych emocji, które nawiedzały go zawsze na ten niezbyt codzienny widok, napłynęła i tym razem. Z tego napisu biła tak przejmująca samotność i wołanie o bycie zauważonym przez świat! Poczuł to i on. Czy, gdyby napisał „jestem” lub tym bardziej „nie jestem”, ktokolwiek by się tym przejął? Wolał oczywiście nie odpowiadać (mama zawsze mówiła „to co sam o sobie sądzisz nigdy nie jest obiektywne i nawet nie próbuj się tym zamartwiać!”). Poczuł, jak z zupełnie niewiadomej przyczyny, wracając do niego wszystkie lęki i obawy z młodości. Paraliż wywołany jednym, prostym słowem „jestem” zadziwił i przerażał go jednocześnie. Kto lub co decyduje o tym że ktoś jest lub go nie ma? Nie jest to tak prosta i bezsporna kwestia, jak wielu uważa. Po krótkiej chwili napięcia do granic wytrzymałości psychicznej wszystkie emocje go opuściły. Zasnął.

Droga na przystanek tramwajowy tym razem minęła mu nadzwyczaj przyjemnie. Tego dnia wielkie bloki nie przytłaczały go swoim ogromem, słońce zaciekle walczyło z szarymi,

strzępiastymi chmurami o miejsce na niebie. Miało ono o tyle ułatwione zadanie, że było wszędzie tam, gdzie chmur nie było. Może na tym polega potęga Słońca? Żaden człowiek nie dąży do zaistnienia z takim uporem. Szedł alejkami między kilkunastu-piętrowymi blokami, dookoła których rosły wspaniałe, ogromne kasztanowce i lipy.

Kiedy dotarł do biura, jego szanowni, redakcyjni koledzy zdążyli już wejść w potencjalnie wybuchową kłótnię.

— Ten protest przecież nic nie zmieni! Nie rozumiesz zakuty łbie, że oni podjęli już decyzję jakieś kilkanaście miesięcy temu! Nie wycofają się z tego! Nigdy jeszcze tego nie zrobili i nie zrobią!

— Bądź łaskaw używać nieco bardziej wyszukanego słownictwa, zwłaszcza, że nasz drogi, delikataśny Dudzio raczył już się zjawić, o właśnie, może ty się wypowiesz zgadzasz się z nim?

— Nie — odburknął, mimo jak najszczerzej chęci bycia uprzejmym. — Sam ze sobą się nie zgadzam.

Jego próba przemknięcia niezauważonym zakończyła się naturalnie fiaskiem, a na dodatek to głupawe, pełne lekceważenia przezwisko. Nie znosił go, a z drugiej strony nie posądzał kolegów o złe intencje. Nałożył na uszy słuchawki i odciął się od swoich żenujących starań wygłoszenia opinii. Obiektywizm. Nienawidził go z całego serca.

Spacer po plantach o 16.00 zawsze wiąże się z ryzykiem spotkania kogoś znajomego. Jednak i bez tego czuł się zestresowany. Powtarzał sobie, że nikt nie ma powodu, aby zwracać na niego więcej uwagi niż na innych zupełnie nieznanym przechodniów. Mimo to, poczucie bycia obserwowanym go nie opuszczało. Usiadł na ławce. Postarał się uspokoić. Zdał sobie sprawę, w jak chorą sytuację wpędził się on sam, a także wpędzili go jego rodzice i praca. Obiektywizm w pracy dziennikarza to naprawdę istotna sprawa, jednak jego życia prywatne jest w strzępach! Przeszła obok niego kobieta, nawet nie zauważył czy była ładna, czy brzydka, jednak wiedział, że w obecnym stanie nie byłby w stanie powiedzieć jej, gdyby była kobietą jego życia, że ją kocha. Bolesne wspomnienie sprzed trzech lat powróciło niezwykle gwałtownie. „Kochasz mnie?” — pytała — „Jak mam z tobą żyć, kiedy ty nie jesteś nawet tego pewien?”. W tym momencie uciął wspomnienie i poczuł, że chce płakać, płakać tak, jak, kiedy był mały, kiedy nie obchodziło go, że inni patrzą. Jednak nie zrobił tego i w dalszym ciągu wpatrywał się pustym spojrzeniem w przeciwną stronę alejki.

Postanowił w końcu wstać. Zaczął biec. Ludzie, których mijał, zlewali się w szare tło i nie onieśmielali go tak jak wcześniej. Skupił się na oddechu i na tym, żeby biec. Wiedział tylko tyle, że chce biec, że nie chce myśleć. W końcu uświadomił sobie i uwierzył, że nikogo nie obchodzi, czemu on biegnie, jest jedną z tysięcy osób w okolicy. Czuł, że dzięki temu może właśnie skupić się sam na sobie i być posłusznym tylko swoim pragnieniom, bo on innych nie obchodzi, ani oni jego. Oni są dla niego szarym rozmazanym tłem, a on dla nich szarym, szybko mijającym mgnieniem. Bieg stał się jego niemalże naturalnym stanem, przecież nie musiał wiedzieć, gdzie biegnie. Kiedy płuca i mięśnie paliły go tak mocno, że nie mógł biec dalej, przystanął i rozglądął się dookoła. Był pod Wawelem, a na wprost niego leżał starszy, bosi mężczyzna i pilnował dwóch pasących się na trawie kucyków. Widok ten był bezsprzecznie niecodzienny, jednak poczuł, że to jest to, co miał ujrzeć. Położył się w stosownej odległości od staruszka i zasnął.

Spał nie dłużej, niż godzinę. Gdy się obudził, zobaczył, że jesienne słońce, nie zdążyło jeszcze się schować i w swoich ostatnich minutach rzuca ciepłe i kojąco przyjazne promienie. Liście opadały z drzew, krótką chwilę, będąc w powolnym locie, jak gdyby czekały na to całe lato i wiosnę. Pies obsikał śmietnik, po czym ukontentowany odbiegł radośnie. Para nastolatków patrzyła na zachodzące słońce i pewnie myślała, że na filmach te zachody jakoś tak lepiej wypadają. Ptaki zlatywały z gałęzi na gałąź i z powrotem, odnajdując w tym, nie wiadomo czemu, przyjemność. Wszystko to było i było po prostu. Nie zastanawiając się, było szczęśliwe.

Wstał, otrząpiał się z trawy i błota i szybko poszedł w stronę Stradomia. Miał silną nadzieję, że nie przewidziało mu się i znajdzie tam sklep z wystrojem wnętrz. Nie mylił się. Pchnął szklane drzwi i znalazł się w środku. Nie było to miejsce z serii tych, gdzie kupują artyści, architekci i tylko ci o niezwykle wyszukanym smaku, z resztą jedyńi, którzy są

w stanie czuć się komfortowo w pustych pomieszczeniach, tylko ze stolikiem lub łóżkiem na środku. Podeszedł do ekspedientki i pośpiesznie zapytał:

— Czy mają może Państwo lampki choinkowe? Możliwie jak najdłuższe.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 4.0.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ukladanka>

Tekst opracowany na podstawie: H. Baran, A. Czarnecki, J. Pietrzak, D. Piotrak, W. Serwatka, M. Wiązcowska, K. Zarzycka, Układanka, il. H. Baran, Kraków 2016.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja powstała w ramach I edycji Konkursu: "Misja - książka!" zorganizowanego przez fundację Nowoczesna Polska i Ridero IT Publishing sp. z o.o. Autorkami i autorami książki są uczennice i uczniowie V Liceum Ogólnokształcącego im. Augusta Witkowskiego w Krakowie, którzy pracowali pod kierunkiem Dariusza Martynowicza.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dariusz Martynowicz.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.